



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

T R E S Ć: *Polityka:* Polityka wobec szkoły. — Z Austrii, p. S. — Tydzień polityczny. — *Życie społeczne:* Szkoły średnie w Galicyi, p. Beta (dokończenie). — Z Poznańskiego, p. t. z. — *Badania naukowe:* Karol Marx, Pisma pomniejszych, tom III, p. Lud. Krz. — *Literatura i sztuka:* Literatura francuska. Przyszłość wiedzy, p. L. W. — Talent na rynku, I, p. Cezarego Jelentę. — Z muzyki. — *Fejleton:* Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu, p. Z. Atanazego. — Unikat literacki, IV, p. A. Ś. — Prasa ruska. — Kronika. — Ofiary. — Ogłoszenia.

W dodatku kwartalnym, obok dokończenia *Historii Rewolucji francuskiej*, rozpoczynamy druk dzieła K. Letourneau

Rozwój moralności,

po którym nastąpią prace Brandesa, Romanesa, Taine'a i innych.

W końcu grudnia nakładem naszym wydajcie

Encyklopedia dla dzieci

ilustrowana. Dziecko, zdobywając wiedzę i poznając życie, ma mnóstwo pytań, na które nie zawsze znajduje odpowiedź w swym najbliższym otoczeniu. Książka więc nasza chce mu zastąpić w tych wypadkach rodziców lub przewodników. Kosztować ona będzie rs. 1 kop. 80, z przesyłką rs. 2.

W styczniu roku przyszłego wydamy

Psychologię dziecka,

opracowaną przez dr. Wolberga na podstawie specjalnych prac Peretza, Preyera i innych. Będzie to podręcznik wychowawczy dla rodziców. Cena książki rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 20.

Opuściła prasę drukowana w dodatku

Historia Rewolucji francuskiej

M. Migneta,

tomów dwa. Cena rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 25.

Ostatnie dwa arkusze tego dzieła abonentów *Prawdy* otrzymają przy dodatku grudniowym.

Dogadzając wielokrotnym życzeniom naszych mniej zamożnych abonentów, nabyliśmy pewną ilość egzemplarzy wydawnictw Spółki Nakładowej i możemy je odstępować po cenie niższej o 20%. Mianowicie:

J. Brandes, *Główne prądy literatury XIX w.*, tom I. Szkoła romantyczna we Francji — rs. 1 k. 60.

P. Chmielowski, *Autorki polskie wieku XIX*, rs. 2.

L. Gumplowicz, *System socjologii* — rs. 2 k. 60.

A. Okolski, *Ustrój państw europejskich i Stanów Zjedn.* — rs. 2 k. 40.

B. Prus, *Szkice i obrazy*, tomów 4 — rs. 4.

H. Spencer, *Etyka* — rs. 1 k. 60.

Światelko, książka dla dzieci — rs. 1 k. 50.

W. Smoleński, *Drobna szlachta* — k. 50.

UWAGA. Nabywający wszystkie dzieła razem, płacą tylko rs. 12 (zamiast rs. 16 k. 20). Cena tych książek dla nieabonentów *Prawdy* pozostaje niezmienną. Na koszt przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

O wczesne nadsyłanie prenumeraty uprzejmie prosimy.

POLITYKA.

POLITYKA WOBEC SZKOŁY.

Jednocześnie na kilku punktach Europy odezwała się potrzeba zmiany dotychczasowego systemu wychowania publicznego i to w jednakim kierunku. Jak wiadomo, w Rosji zmniejszono nieco naukę języków klasycznych. W Anglii zaczęto również rozmyślać nad reformą. Na konferencji higienicznej w Edimburgu członek jej Ballantyne tak zsumował obecne zadania pedagogiczne. Należy: 1) urządzić lepiej szkoły pod względem zdrowotnym; 2) pomnożyć ćwiczenia fizyczne; 3) nadać kształceniu kierunku bardziej higienicznego. „Zaprowadźmy — powiada on — większą w nim różnorodność: niech stanie zmieniać się kolejno z siedzeniem, pisanie z czytaniem, praca z odpoczynkiem; zapobiegajmy, ażeby dzieci siedząc, nie miały odzieży lub nóg mokrych; zmieniamy często sale klasowe, ozdabiamy je gustownie, posługujemy się szczerze widokami i obrazami.“ Dalej 4) żąda Ballantyne ustanowienia w szkołach nadzoru lekarskiego; 5) zmiany kar. Koza lub zadawanie lekcji dodatkowych — środki te wydają mu się niewłaściwe, gdyż uszczuplają czas dla wypoczynku. „Sądzę — twierdzi on — że kary cielesne, używane spra-

wiedliwie, są jeszcze najskuteczniejsze. Pewność, że tego rodzaju kara może być zastosowana w potrzebie, wywiera dziwny wpływ moralny w szkole; lecz powinniśmy uciekać się do niej z nadzwyczajną oględnością.“ Hygienista szkocki wyłącza targanie za uszy itp., zaleca tylko „różgi *super dorsum*.“ Wymaga on 6) kształcenia gromadą, 7) zmniejszenia wykładów języka greckiego i łaciny i 8) rozszerzenia lekcji nauk przyrodniczych.

Nie wchodzimy w rozbiór tego programu, gdyż ma on dla nas tylko znaczenie obywatelskie. Zresztą ważniejszym, bo już praktycznym wypadkiem w tej dziedzinie jest reforma podjęta przez Wilhelma II. Poniekąd można się było spodziewać, że cesarz niemiecki, pobudzany ciągłą gorączką działania, nie mogąc zużyć całej swojej energii w stosunkach zewnętrznych, zabierze się do przekształcenia wewnętrznych, a między innymi nie ominie tak ważnej dziedziny, jaką jest szkoła. Rzeczywiście obok projektu nowej ustawy dla szkół niższych, zwołano komisję dla wypracowania programu dla wyższych. Przed tem gronem Wilhelm II wypowiedział swój pogląd pedagogiczno-polityczny, który ma być drogowskazem dla obrad. Według niego uczniowie gimnazjów są zbyt przeciążeni pracą, którą należy zmniejszyć. Kształcą się oni na dobrych greków i rzymian, a powinni kształcić się na dobrych Niemców. Dla osiągnięcia tego celu potrzeba rozszerzyć wykłady języka i historii Niemiec, kosztem greki i łaciny, a nadto w dziejach uwzględnić zasługi panującej dynastii. Szkoła ma również podjąć zadanie przeciwdziałania socjalizmowi. Cesarz nierad jest z mnożenia się proletariatu umysłowego, zapowiada też, że nie udzieli pozwolenia na nowe gimnazja, których jest za wiele, natomiast chętnie widzieć będzie szkoły realne, przygotowujące wychowanków do życia praktycznego.

Jak w konferencji międzynarodowej, zwołanej dla uregulowania sprawy robotniczej, tak też w naradzie szkolnej Wil-

helm II zdradził nieprzygotowanie, nieprzemysłowość dostateczną tych zawilich i trudnych kwestyj, które rozcina sądem stanowczym. Żąda on bowiem od szkoły albo roli z jej charakterem sprzecznej, albo niemożliwej. Bo jakże pogodzić naukę, niezależną od wszelkich względów, z dążnościami niemieckiego patryotyzmu lub szowinizmu, z wychwalaniem Hohenzollernów, bez gwałcenia prawdy, o którą głównie chodzić powinno? Jakże pokonywać socjalizm, który jest teorią ekonomiczną, przy uczeniu dzieci, które o sprawach ekonomicznych nie mają żadnego wyobrażenia? To też gazety niemieckie z grzecznością należą wysoko stojącemu reformatorowi, ale i ze szczerością, której on sam wymaga, wskazują słabe punkty jego poglądu i wykazują niemożliwość urzeczywistnienia go w tej formie, w jakiej został wygłoszony. Do składu komisji szkolnej wchodzi ludzie bardzo poważni i znakomici, którym nie zbraknie ani wiedzy, ani doświadczenia, ani odwagi — pozostawmy więc im tę sprawę, zwłaszcza że ona bezpośrednio nas nie obchodzi. Obchodzą nas tylko dwa główne znamiona zamierzonej reformy, mianowicie: chęć ograniczenia klasycyzmu w wychowaniu publicznem oraz nadanie szkole charakteru politycznego i narodowego. Ma ona w Niemczech kształcić nie greków, nie rzymian, nawet nie ludzi, ale Niemców, poddanych Hohenzollernów i przeciwników socjalizmu. Stanie więc pod działaniem pewnych, określonych zgóry wpływów i zaczyna się posługiwać czynnikami leżącymi po za obrębem niepodległej nauki, a w zakresie praktycznych celów państwowych. Słowem, szkoła niemiecka staje się tendencyjną, organem i narzędziem polityki.

Z AUSTRII.

Grzebanie ugody czesko-niemieckiej. — Parę słów o polityce młodo-czechów. — Otwarcie parlamentu austriackiego i sprawozdanie budżetowe ministra Dunajewskiego.

„Stanowimy dwie w kraju narodowości o równej kulturze, o równym rozwoju, o równej potędze. Należy pociągnąć pewną linię demarkacyjną i każdej narodowości przekazać obszar, na którymby pielegnować mogła własną indywidualność.“ Wypowiadając te słowa w obradach ugodowych sejmu czeskiego, Rieger zajął stanowisko, na którem stoją Niemcy w Czechach od lat kilku. Młodo-czesi stanowiska tego uznać nie chcą. Jakże szybko zmieniło się tam położenie polityczne i jak łatwo uciskani uciskać się uczyć! Świeżo pozostaje w pamięci wszystkich czas, kiedy książę Auersberg był marszałkiem sejmu czeskiego, posiadającego większość niemiecką. Dziś Niemcy sami popierają reformę porządku wyborczego, który czechom zapewnia większość, a oni zadowolić się tem nie chcą. Wykreślili ze swego programu politycznego tolerancję i nie tają się bynajmniej z pragnieniem pochłonięcia Niemców. Atoli to, co wydawać się może ideałem polityki narodowej, ze stanowiska sprawiedliwości stanowi krzywdę. Szum frazesów, głoszonych dziś przez wodzów młodo-czeskich przygłusza sumienie publiczne, które przypomnieć by sobie powinno przykazanie: nie czyn drugiemu, co tobie nie miło. Gregor rospuścił hasło „kraj się rozdziera“, a hasło to, podburzywszy szerokie

masę ludu, rozbija dziś ugodę czesko-niemiecką. Daremnie przez parę z rzędu miesięcy cała prasa urzędowa powtarzała bezmyślne słowa: uгода przyjdzie do skutku, bo przyjsć musi. Przeciwnie: uгода do skutku nie przyjdzie, chociaż przyjsć powinna. Sejm czeski rozprawił o ustawie oświaty krajowej. Już w ciągu dyskusji grupa posłów staroczeskich, popierających Riegera i ugodę, szczuplała z dnia na dzień; nawet najstarszy wiekiem członek klubu dr. Trojan, wypowiedział Riegerowi towarzystwo bronni, jako *inimicus rei, amicus personae*. A kiedy przyszło do głosowania nad tą ważną ustawą, dwunastu posłów staroczeskich oświadczyło się przeciw niej, a jedenastu opuściło salę. Okazuje się, że dla przeprowadzenia uchwał ugodowych rząd nie może pozyskać większości w sejmie czeskim. Sejm ten liczy 242 członków, dla zatwierdzenia ustaw ugodowych wymagana jest większość trzech czwartych: wystarcza nieobecność 61 posłów dla uniemożliwienia postanowień. Zważywszy, że młodo-czeskich jest 41, a staroczechów 23 zajęło stanowisko nieprzychylnie ugodzie, opozycja rozprządza dziś 64 głosami. Cyfra ta jest wyrokiem śmierci dla pracy ugodowej. Nadzieje jej redukują się do zera, skoro weźmiemy pod uwagę, że obecnie po rozbiciu klubu staroczeskiego, tworzyć się zaczyna nowe koło posłów staroczeskich, którzy nie myślą wprawdzie zsolidaryzować się z młodymi, ale zdecydowani są działać przeciw ugodzie. Zdaje się więc, że kiedy w styczniu sejm czeski powtórnie się zgromadzi, dla uśmiercenia ugody niepotrzebna nawet będzie nieobecność najzaciętszych jej wrogów. Wszystko co teraz jeszcze działać może w tej sprawie, będzie tylko formą agonii. Prowodrzy niemieccy bynajmniej też nie lęczą się co do stanu rzeczy. Wprawdzie posłowie młodo-czescy dokonywają cudów na polu wniosków przewlekających i wymowy hamującej obrady; lecz są to znane sztuczki parlamentarne, które nie zamydłą oczu najnaiwniejszemu nawet mężowi stanu. To też Niemcy, którzy jeszcze przed dziesięciu miesiącami na zgromadzeniu w Cieplicach jawnie przyznali się, że zgoda byłaby dla nich pożądaną ze względów politycznych i ekonomicznych, dziś zdecydowali się do nowego podjęcia walki w formie najostrzejszej i wydali manifest, wzywający przemysłowców, aby nie brali udziału w wystawie czeskiej 1891 r. Póki czesi walczyli o swobodę rozwoju narodowego, usiłowania ich zasługiwały tu na pełną sympatię; gdyby istniała alternatywa: czesi muszą pochłoniąć Niemców, albo Niemcy pochłonią Czechów, każdy szczep słowiański przyklaskiwałby ostatnim i w dzisiejszej fazie ich walki. Lecz alternatywa taka nie istnieje, a nadanie całemu krajowi administracji i szkolnictwa czeskiego, w czem się streszcza dążność młodo-czechów, byłoby pogwałceniem praw narodowych ludności niemieckiej, która dziś zrzekła się wszelkich do panowania pretensyj. Niemcy w Czechach zaś, to nie drobna kolonia szwabska, którą naród mimochodem wchłania. Kwestya niemiecka w Czechach, to kwestya ruska w Galicyi. Mówią, że bogacz tylko może być nieludzkim, a dobroczynnym ten, co sam nędzy doznał. Niechże narody-bogacze hołdują polityce siły przed prawem; tym zaś, które same doznały sromu i bólesci wywłaszczenia politycznego, przystoi polityka sprawiedliwości.

Rozbicie ugody czesko-niemieckiej na razie żadnych nie wywołało skutków w stosunkach rządu i parlamentu austriackiego. Owszem, przemowa ministra Dunajewskiego, który w dzień otwarcia zimowej sesji Rady państwa przedstawił sprawozdanie ze swych czynności na polu finansów austriackich, dowiodła opozycji, że rozkład dzisiejszej większości bynajmniej nie jest blizkim. Dunajewski, zamiast biadać nad fatalnościami czeskiemi, wyraził większości swe uznanie, iż dzięki zgodnemu jej w spra-

wach państwa postępowaniu, rezultaty usiłowań jej wreszcie cyframi wykazać można. Istotnie też wykazał nadwyżkę dochodów nad wydatkami i stwierdził, że budżet jego tegoroczny stanowi spełnienie obietnicy danej w pamiętnej mowie od tronu, że gabinet obecny pokryje niedobór bez uciekania się do kredytu i bez naruszenia siły wytwórczej ludów. Nie mogąc zwalczyć cyfr, opozycja zwraca się przeciw temu ostatecznemu twierdzeniu. Budżet Dunajewskiego, dowodzi ona, tem tylko żyje, co człowiek jeśd musi: w czemże zasługa, w czem oryginalność ministra? Podatek wódeczany, to pomysł Bismarka, podatek od nafty i kawy, to pomysł Tiszy, podwyższenie ceny tytoniu, to stary środeczek rządu austriackiego. Nigdzie nie widać reformy zasadniczej, próby zastąpienia szkodliwych praktyk dobrami...

Trudno obronić politykę finansową Dunajewskiego od zarzutu, że zbyt dotkliwie nakręciła śrubę podatkową i że ludności daje się we znaki; nie można też powiedzieć na chwałę jej, że istotnie wprowadza system nowy, zdrowszy. Lecz w tem niezaprzeżona jej zasługa, że chociaż nie różni się zasadniczo od polityki finansowej stronnictwa, będącego dawniej u steru, dokonywa przynajmniej poprawy finansów austriackich, podczas gdy gabinet uprzedni finanse te w oplakany pozostawił stanie.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sceny, które rozegrały się i rozgrywają w gronie posłów irlandzkich, należą do wyjątkowych w historii. Wyobraźmy sobie posiedzenie 80 kilku ludzi, z których więcej niż połowa piorunuje przeciw jednemu ze swych towarzyszy, wykazuje konieczność usunięcia go dla dobra kraju, a ten towarzysz przewodniczy obradom jako prezes. Nietylko przewodniczy, ale odbiera głos stanowczym przeciwnikom, dowodzi konieczności utrzymania go na stanowisku naczelnem, a wreszcie zapowiada, że przed żadnym naciskiem nie ustąpi. Ale nareszcie przewlekająca się i dziwaczna awantura doszła do jakiegoś kresu: większość posłów opuściła Parnella i wybrała sobie innego przewodnika, a skutkiem tego partya irlandzka rozlała się na dwie grupy. Pomimo odstąpienia tak znacznej liczby towarzyszy, pomimo piorunującej przeciw niemu odezwy duchowieństwa, którą odczytano we wszystkich kościołach, Parnell godności swojej zrzec się nie chce i walczy jak zraniony tygrys. Ostatnie starcia przekonały, jak twardym jest charakter tego człowieka i jak on sterylizował tę gromadę, której przewodniczył. Podczas obrad — ciągle jako prezes — nie dopuszczał do głosu przeciwników, lżył ich, a niewiele brakło, ażeby nie kazał swym poplecnikom użyć kijów. W całej walce ani razu nie pozwolił wnieść do rozpraw stosunku swego do pani O'Shea i utrzymywał je wyłącznie w granicach polityki i stosunku do stronnictwa liberałów angielskich. Dla umysłów wrażliwych i niechciwych władzy za wszelką cenę sympatycznym on nie jest, ale nikt mu nie odmówi jakiejś tytanicznej siły charakteru.

Chociaż cesarz niemiecki przy zagajeniu prac komisji szkolnej sypnął szczerze pochlebstwami Gosslerowi, nie milknie pogłoska o prędkim ustąpieniu ministra oświaty, dla którego te grzeczności miały być kadzidłami przedśmiertnymi. Być może jednak, że wieść ta dogadza tylko wielostronnemu życzeniu, niema dziś bowiem w Prusach ministra, którego tyle żywiołów pragnęłoby widzieć „w stanie spoczynku.“

Ex-królowa Natalia nie dała za wygraną. Pomimo że dziś ani w rządzie, ani w sejmie

mie, ani w duchowieństwie nie ma przyjaciół, złożyła skupczyźnie memoriał, dotyczący jej pożycia z Milanem, rozvodu i stosunku do syna. Oznajmiono jej poufnie, że akt ten przesłany został pod niewłaściwym adresem, że zawarte w nim pretensje i życzenia nie wchodzą w obręb praw skupczyzny i są już załatwione na innej drodze. Ale niezwalczona kobieta, jeśli w ten sposób nie zyska satysfakcji, postanowiła wszystkie dowody wraz ze swoim objaśnieniem wydrukować po francusku i cały świat uczynić sędzią swego zatargu z mężem. Milan więc będzie musiał połknąć jeszcze niejedną gorzką pigułkę od swojej byłej żony. Ani „ukrócić spornej“, ani odczepić się od niej prędko nie zdoła.

W wiedeńskiej Radzie państwa przedstawili się dwaj nowowyzbrani jej członkowie galicyjscy: Antoni hr. Wodzicki i August Sokołowski (z Krakowa). Ten ostatni, nie należący do bandy stańczyków, wyszedł zwycięzcą po zażartej i sromotnej z nimi walce. Dawno już nie wpuścili oni do agitacji przedwyborczej tyle wstrętnego błota.

Po tryumfie rozpoczęły się dla Crispiego kłopoty: musi on naprzód zmienić paru ministrów — co mu przyjdzie łatwo, ale także pomyśleć o losie 5,000 robotników, których odprowadzono w Turynie dla braku zajęcia — co jest daleko trudniejszem. Tu nie pomoże, bo głodnych nie nakarmi, ani „wielka mowa“, ani „potrójny sojusz“, ani wydalanie korespondentów gazet zagranicznych, ani żaden z tych środków, którymi minister włoski zwykle działa. Trzeba pomyśleć o kwestyi życia biednych mas, umierających z głodu i wycieńczonych podatkami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁY ŚREDNIE W GALICYI.

(Dokończenie).

Wobec mnóstwa uczniów o zdolnościach niedochodzących nawet średniej miary, obniża się i sposób traktowania przedmiotu i wymagania aż do ostatnich granic możliwości. Zmniejszyć napływu nie mogą wcale rozporządzenia ministerstwa oświaty co do podwyżki opłaty szkolnej, dały się one wprawdzie uczuć boleśnie biednym rodzinom, ale wstrzymały przepelnienia. Skutecznie zaradzić temu może tylko z jednej strony zakładanie szkół innego rodzaju, a mianowicie przemysłowych i realnych, do których mogłyby odpłynąć zastępy młodzieży, niepotrzebnie obciążające gimnazya, z drugiej zaś otwieranie nowych gimnazjów na prowincyi. Że liczba ich w naszym kraju jest nazbyt mała i koniecznie wymaga rychłego pomnożenia, co najmniej o połowę, na to zgadzają się wszyscy. Komisya szkolna jednak niewłaściwie sądzi, że powiększenie liczby gimnazjów powinno przedewszystkiem nastąpić w miastach większych, a dopiero gdy się tej potrzebie stanie zadość, przyjdzie kolej na mniejsze. Miasta większe mają gimnazya przeludnione, mniejsze zaś nie mają żadnych, a biedni rodzice pozbawieni są zupełnie możności posyłania swych dzieci do szkół średniej. Zresztą przez otworzenie kilku nowych gimnazjów we Lwowie i Krakowie, nie przeszkodzi się z pewnością temu, że inne pozostaną i nadal zapechane. Od dłuższego czasu posługują się w owych przepelnionych zakładach nędźnie płatnymi zastępcami nauczycieli czyli suplentami, których liczba w naszym kraju dochodzi do wysokości nieznanej nigdzie. Suplenci stanowią u nas prawie $\frac{2}{5}$ części ciała nauczycielskiego (mamy 201 zastępców, obok 324 nauczycieli rzeczywistych), a to wytwarza stosunek

nienormalny, grożący na przyszłość najgorszymi skutkami. Temu złemu więc zaradzić potrzeba jak najspieszniej przez ustanowienie nowych posad nauczycielskich. Podwyższenie etatu konieczne samo przez się w interesie nauki, nabiera jeszcze większej wagi i znaczenia przez to, że tylko ten środek może zapobiedz niebezpieczeństwu, zaczynającemu występować coraz groźniej: ubytkowi sił nauczycielskich, który może łatwo się zmienić na brak ich zupełny. Olbrzymi zastęp suplentów, w połowie (111) nieposiadających żadnego egzaminu, musi słusznie przerażać, a cała sprawa, już od lat 30 nieschodząca z porządku dziennego, domaga się gwałtownie załatwienia. Suplatura, przez Zarząd Organizacyjny, uważana tylko za środek chwilowy, za wyższy niejako stopień przygotowawczy do zawodu nauczycielskiego, w kraju naszym stała się instytucją samoistną i ciągłą, a wskutek tego przepisy o nabywaniu kwalifikacji nauczycielskich dla Galicyi prawie nie istnieją wcale. Suplatura, trwająca niekiedy przez lat kilkanaście, odstrasza od poświęcenia się zawodowi nauczycielskiemu. Młodzież zdolniejsza coraz bardziej stroni od „filozofii“, a garnie się ku niej przeważnie biedna, nie czująca w sobie sił do zdobycia lepszego stanowiska i gotowa poprzestać na lichiej i upokarzającej posadzie, ale dającej się uzyskać prędzej, niż inna. Stąd płynie także „ubytek i brak sił nauczycielskich“, jak wskazuje wyraźnie sprawozdanie krajowej Rady szkolnej. Sprawę suplentów poruszył sejm, ale po to chyba, ażeby wypowiedzieć kilka pięknych na ten temat uwag. „*Alles bleibt sonst beim Alten*.“ Upadek naszych szkół średnich objawia się najdowodniej w świetle statystyki porównawczej. Ponieważ są one utrzymywane przez rząd, dla tego biorę do porównania tylko kraje monarchii austriackiej. Otóż kiedy np. Czechy, liczące tyle mieszkańców, co Galicya, tj. około 6 milionów, posiadają przeszło 70 szkół średnich, my nie posiadamy ich ani połowy (obecnie 31). W Czechach przypada więc jedna szkoła średnia na 82,255, w Galicyi zaś na 205,511 mieszkańców, czyli że w Czechach jedna szkoła wystarcza na 742 kilometrów kwadratowych, u nas na 2,532. Nawet w Bukowinie i Dalmacyi, u tych kopeiuszków, zajmujących zawsze ostatnie miejsce w statystyce austriackiej, okazuje się daleko lepszy stosunek. W Dalmacyi np. mamy szkołę średnią na 86,247 mieszkańców, kiedy np. w samej Austrii (dolnej) przypada jedna na 483 kil. □. I cóż znaczą wobec tych cyfr „rządy polskie“ w Austrii, o których bajecznie krąży wieści. Błogosławiony nasz kraj, mlekiem i miodem płynący, obfituje także w liczne stypendya dla ubogiej młodzieży. W wydziale krajowym otworzono na ten cel osobne bardzo kosztowne biuro. Powszechnie utarło się zdanie, że tych zapomóg mamy więcej, niż inne kraje. Pomijając tę okoliczność, że przeznaczone są niemal bez wyjątku dla dzieci szlacheckich i że dla żydów mamy tylko jedno (Kallira), to w stosunku do innych krajów koronnych, zadaje statystyka kłam naszej oślawionej szczodrości. W Austrii górnej jest na 100 uczniów 11 stypendystów; podobny stosunek zachodzi w Tyrolu, Salzburgu, w Karyntyi itd. w Krainie na 100 uczniów 15 pobiera stypendya, nawet w Dalmacyi mamy 9% stypendystów, tylko w Galicyi na 100 uczniów wypadają 2 stypendya *).

Smutny objaw, że w średnich szkołach galicyjskich bywa stosunkowo więcej uczniów prywatnych, niekorzystających z oświaty publicznej, niż gdzieindziej, powtarza się w statystyce, a w związku z tem pozostaje niepomysłny wynik egzaminów

dojrzałości. W gimnazyach galicyjskich przeprowadzono 22.29%, w szkołach realnych 22.13%, w innych zaś krajach Przedlitawii w gimnazyach tylko 6.70%, a w szkołach realnych 8.50%. Statystyka egzaminów dodatkowych wykazuje także większe liczby w szkołach galicyjskich. W gimnazyach było poprawek 18.98%, w szkołach realnych 27.05%, wreszcie Przedlitawii — w gimnazyach 8.80% w szkołach realnych 11.44%.

Jak małe są wyniki naszej nauki szkolnej, dowodzi tabela statystyczna Rady szkolnej, wykazująca, że w naszych szkołach realnych większy jest procent ogólnego postępu złego, niż w gimnazyach w reszcie Przedlitawii; na 100 uczniów klasy I po 8 latach tylko 32 kończy pomyślnie klasę VIII, a w szkołach zaś realnych ze 100 uczniów klasy I po 7 latach otrzymuje promocję w klasie VII tylko 21! Uczniowie, którzy zupełnie prawidłowo kończą studia w naszych szkołach średnich stanowią raczej wyjątek, niż regułę...

Beta.

Z POZNAŃSKIEGO.

1 grudnia.

Wybory do rady miejskiej. — Ks. biskup Kopp poprawił się. — Reformy szkoły pruskiej. — Radca Wehr w kozle. — Wybór arcybiskupa.

Wybory do Rady miejskiej w Poznaniu, jak przewidywaliśmy, wypadły dotychczas niepomysłnie. W trzeciej klasie wybrano trzech radców, między nimi dwóch Niemców, w drugiej — jednego i to Niemca, w pierwszej — dwóch, również Niemców. Pozostaje jeszcze sześć wyborów uzupełniających (ściślejszych), które, o ile obecnie sądzić można, wypadną raczej na korzyść Niemców, niż Polaków. Najwięcej szans przejścia z pomiędzy pierwszych posiada tylko Jan Szpecht, kandydujący w klasie trzeciej, w drugim obwodzie; w najlepszym przeto razie na 12 nowych radców tylko dwóch będzie Polaków.

Dzienniki w Poznańskim już pouczyły swą publiczność, że ks. biskup Kopp nie jest tak bardzo złym człowiekiem i działalność jego na Szlązku nie jest bezwarunkowo dla Słowian szkodliwą. Dzielnym ten kapłan złożył w ostatnich czasach niewątpliwie dowody tego, że jest przychylnym projektowi, aby Słowianin prócz języka niemieckiego uczył się także i rodzimego. Oto wydał on rozporządzenie, zaprowadzające naukę języka polskiego w wrocławskim konwikcie teologicznym dla tych studentów, którzy później mają być użyty jako księża w gminach z ludnością polską lub mieszaną. Co więcej, wyrobił nawet zezwolenie u odnośnej władzy, żeby aż 20 (!) uczniów wrocławskiego katolickiego gimnazjum św. Macieja mogło również pobierać naukę tego języka, gdyż dotychczas było to dozwolone tylko uczniom szkół ewangelickich — Niemcom. W ten sposób nawet Niemcy będą mogli uczyć się języków słowiańskich, co niewątpliwie szkodliwie znów oddziało na państwowy ustrój pruski i będzie w parlamencie berlińskim wielokrotnie wytknięte mieszkańcom Szlązka i Poznańskiego.

Widocznie sam rząd pruski przyszedł już do przekonania, że dotychczasowy system szkolny fatalne wywiera skutki, gdyż wniósł w sejmie projekt reformy. Wprowadzając dawny, myślało tylko o tem, aby jaknajprędzej wynaradawiać ludność dwu wspomnianych prowincji — wychowanie moralne dzieci i danie im jakiegokolwiek wiedzy uznano za rzecz podrzędną. Tymczasem rachuby zawiodły — ludność cicha, ale zacięta stawiała opór, nauczycieli Niemców nie uznawała, dzieci do szkół stanowczo, mimo wielkich kar, posyłać nie chciała

*) Powyższe cyfry zestawilem z dzieł urzędowych: *Oesterreichische Statistik*, herausgegeben von der k. k. Statistischen Central Comission, Wien 1890 i *Oesterreichisches Statistisches Taschenbuch*, bearbeitet nach amtlichen Quellen, Wien 1890.

i rezultat dziś tego taki, że Wojtki, Jaśki i Bartki czytać ani gotyckich, ani łacińskich liter nie umieją; wzięci do wojska rozdierają uszy mazurskim akcentem swym „führom“ i „kapralom“, a ukończywszy edukację wojskową, umieją po niemiecku tylko... kłąć.

Projekt nowy interesuje najwięcej nauczycieli, ci zbierają się licznie rozprawiają nad nim i doradzają zmiany. Ciekawem było takie zebranie stowarzyszenia katolickich nauczycieli powiatu pszczyńskiego na Górnym Szlaku w Pszczynie. Nauczyciel Urban ze wsi Robier rozbiierał na niem wady dotychczasowego systemu szkolnego i podał jako przyczynę marnych rezultatów działalności elementarnych szkół górnośląskich (to samo w Poznańskim) 1) *bierną opozycję rodziców względem pracy nauczyciela w izbie szkolnej*, 2) liczne mimo karmydu szkolne, 3) ustawiczne przeszkody i przerwy w regularnej nauce, 4) często zachodzące półdniówki, 5) zniesienie godzin repetycyj w dni niedzielne, 6) *młodych nauczycieli, którzy tylko niemieckim językiem władają*.

Warto wiedzieć, jaką jest liczba tych, o których tu chodzi. Ogólna ilość wszystkich dzieci w szkołach pruskich wynosiła w dniu 20 maja 1886 r. 5,082,252; z tych mówiło wyłącznie tylko po niemiecku 4,426,679 dzieci (87.1%), wyłącznie tylko po polsku 503,064 (9.9%), po polsku i po niemiecku 72,740 (1.43%), po litewsku 12,754 (0.25%), po litewsku i niemiecku 8,393 (0.17%), tylko po łużycku 9,961 (0.20%), po łużycku i niemiecku 4,419 (0.09%) po czesku 8,761, po czesku i niemiecku 2,828, po duńsku 24,651, po duńsku i niemiecku 1,627, innymi językami 4,538, niemieckim i niemieckim 1,837.

Obecnie przygotowuje się spis nowy, którego rezultaty już wkrótce będziemy znali. Królewskie biuro statystyczne wydało odezwę do ludności, w której zwraca uwagę na ważność statystyki, oraz podaje bliższe objaśnienia co do odbyć się mającego spisu. Niewytłomaczonym sposobem dostały się do formularzów rubryki, które prócz ludności niemieckiej rozróżniają polską, *kaszubską i mazurską* (?). Kończąc tę korespondencję jeszcze dwiema wiadomościami. Zacięty wróg słowian znany p. radca Wehr został oskarżonym o oszustwo i zasądzonym za prostą kradzież (grzeczniej sprzeniewierzenie) funduszy sobie powierzonych na jeden rok więzienia.

Arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim ma być podobno mianowany ks. Mieczkowski.

Ł. Z.

BADANIA NAUKOWE.

Karol Marx. *Pisma pomniejsze*, tom III. *Przyczynę do krytyki ekonomii politycznej*.

Nasza literatura ekonomiczna doczekała się w obecnym roku przekładu polskiego dwóch najważniejszych prac K. Marxa. Przedewszystkiem ukazał się ostatni zeszyt pierwszego tomu *Kapitału*, obecnie zaś pojawił się w tłumaczeniu Winiarskiego *Przyczynę do krytyki ekonomii politycznej* (*). Stanowi on tom trzeci wydawnictwa zbiorowego, w którym mają wyjść wszystkie pomniejsze pisma zmarłego badacza.

Przyczynę jest niejako pierwszym wydaniem późniejszego *Kapitału*. Marx miał zamiar opracować różne pytania ekonomiczne w szeregu mniej lub więcej niezależnych od siebie rozpraw, a pierwszą z nich była obecna książka. Mamy tu analizę towaru i prostego obiegu, wreszcie rozwinięta

w sposób wyczerpujący teorię pieniędzy. Lecz podczas przygotowywania dalszych części autor zmienił projekt pierwotny. Ukazał się *Kapitał* i wspomniana rozprawa została doń włączona jako dział pierwszy. Naturalnie uległa ona pewnym skróceniom, niekiedy bardzo znacznym, zwłaszcza w tych ustępach, gdzie mowa o pieniądzu. W każdym razie jednak *Przyczynę* pozostał czemś zupełnie całkowitem, jakby rodzajem wstępu do głównego dzieła Marxa. W przedmowie autor streszcza swoje zapatrywania historyzoficzne. W społeczeństwie tworzeniu swego życia ludzie podlegają pewnym określonym, koniecznym, od woli ich niezależnym stosunkom — produkcyjnym, które odpowiadają ściśle rozwojowi materialnych sił wytwórczych. Ogół tych stosunków stanowi o ekonomicznej budowie społeczeństwa i jest niejako fundamentem, na którym wznosi się prawny i polityczny gmach. Tym stosunkom rzeczowym odpowiadają społeczne formy świadomości. Sposób stwarzania warunków życia materialnego wyciska swoje znamię, co więcej, uwarunkowywa wszelkie zjawiska społeczne, polityczne i duchowe. Nie świadomość ludzi określa formy ich bytu (społecznego), lecz przeciwnie byt społeczny określa właśnie formy świadomości. Na pewnym szczeblu swojego rozwoju materialne siły wytwórcze stają w sprzeczności z istniejącymi stosunkami własnościowymi, które z dotychczasowej dźwigni postępu zamieniają się na bezużyteczne pęta. Następuje epoka przełomu w społeczeństwie. Ze zmianą ekonomicznego podkładu cały olbrzymi gmach, zbudowany na nim, wali się — prędzej lub wolniej. Przy rozważaniu takich epok dziejowych trzeba wciąż mieć na uwadze różnicę, jaka istnieje pomiędzy materialnym z przyrodniczą pewnością możliwym do stwierdzenia przewrotem w zakresie ekonomicznych warunków produkcji a prawnymi, politycznymi, religijnymi, artystycznymi i filozoficznymi, słowem idealnymi modłami, zapomocą których ludzie uświadamiają sobie ten zatarg i za które walczą. Jak niepodobna sądzić o człowieku z tego, co on sam o sobie myśli, tak samo nie wolno wydawać sądów o takiej epoce przełomowej na podstawie jej własnej samowiedzy, lecz raczej należy tę samowiedzę wprowadzać ze sprzeczności życia materialnego, z istniejącego zatargu pomiędzy społecznymi metodami wytwarzania a stosunkami własnościowymi. Żadna formacja społeczna nie schodzi ze świata, dopóki wszystkie potęgi wytwórcze, do wyłonienia których jest ona dostatecznie rozległa, nie zostaną należycie i zupełnie rozwinięte. I nowe, wyższe stosunki produkcyjne nigdy nie ukazują się na arenie dziejowej, póki materialne warunki dla ich istnienia nie poczną się i nie dojrzeją w łonie starego społeczeństwa. To też ludzkość w swoim rozwoju dziejowym stawia sobie tylko takie zadania, do rozstrzygnięcia których może się już zabrać i przy bliższem rozpatrzeniu rzeczy zawsze odnajdziemy, iż samo zadanie jedynie tam bywa sformułowane i wychodzi na jaw, gdzie istnieje już materialne warunki, niezbędne do rozwiązania go, albo też gdzie znajdują się one przynajmniej w fazie powstawania.

Te poglądy historyzoficzne, wysnute na podstawie wyczerpujących studyów ekonomicznych i historycznych, w zastosowaniu do teraźniejszej chwili głoszą, że i obecnie, skutkiem rozwoju ekonomicznego, ukazał się w nowoczesnym społeczeństwie rozbrat pomiędzy metodami produkcji a istniejącymi stosunkami prawnymi i politycznymi, który odzwierciedla się w warunkach bytu i mózgach ludzkich, powołał do życia dzisiejszą „kwestję społeczną.“ W takim oświeceniu dzisiejsze niedomaganie społeczne jest przedewszystkiem sprawą produkcji i nie ustanie, póki ustawa prawnopolityczna społeczeństwa nie zostanie dopasowana do wymagań tegoczesnych sił wy-

twórczych. Otóż w walce interesów, która wybuchła z takiego stanu rzeczy, najważniejszą rzeczą jest dokładna analiza teraźniejszości i zbadanie, na czym polega istota dzisiejszej chwili i dzisiejszego rozwoju. Właśnie Marx podjął to olbrzymie zadanie. W następstwie studyów jego nad ekonomią i historią ukazały się prace takie, jak *Kapitał*. Naturalnie, w wielu najważniejszych ustępach swoich dzieło to jest jedynie dalszem rozwinięciem i uzasadnieniem dawniej wypowiedzianych zdań i poglądów. Ażeby wskazać jednakże stanowisko, właściwe temu badaczowi i jednocześnie wyosobnić go od poprzedników, zatrzymamy się nad teorią „wartości dodatkowej.“ Już u Smitha mianowicie znajdujemy ustępy, świadczące, że pojmował on zysk przedsiębiorcy i rentę ziemską jako proste odciążenie z produktu robotników. Rikardo poszedł jeszcze dalej. Wywody jego dały początek wprost całej szkole ulotnych pamphletistów, usiłujących wyzyskać teorię jego na korzyść warstw pracujących, a literatura ta jest tak obfita, iż Marx, przytaczając ją w jednej ze swoich prac i wymieniwszy kilku przedstawicieli kierunku, powiada, że pozostało jeszcze do zacytowania aż cztery strony innych nazwisk! „Wszystkie dążności tego, co my nazywamy społeczeństwem, streszczają się w jednej, mianowicie, aby wszystkimi możliwymi sposobami, drogą oszustwa lub zamydlenia oczu, postrachu lub przymusu, zniewolić robotnika produkcyjnego do wypełnienia swojej roboty za jaknajmniejszą część wytworu własnej jego pracy.“ Ustęp ten z broszury jednego takiego pamphletisty charakteryzuje całą tę szkołę. Słowem, ogólne zasady teorii „wartości dodatkowej“ były już ustalone przed wystąpieniem Marxa. Cóż on jednak uczynił, że ją wiązał wyłącznie z jego nazwiskiem? Dla wyjaśnienia, za przykładem Engelsa, zatrzymajmy się nieco nad dziejami chemii. Istniała niegdyś teoria flogistonu, wyjaśniająca wielki proces palenia tem, że od ciała płonącego odłącza się stale inne: flogiston. W r. 1774 Priestley otrzymał „szczególny rodzaj powietrza,“ zupełnie wolny od obecności flogistonu; później zaś znalazł, że palenie odbywa się energiczniej w tem „powietrzu,“ aniżeli w zwykłym i wywnioskował, że z połączenia tego żywiołu z flogistonem powstaje ciepło i ogień. Dopiero wszakże Lavoisier wykazał istotne znaczenie tlenu. Jego poprzednicy znali to ciało chemiczne, lecz wprost nie wiedzieli, co z niem począć. Podobnie i poprzednicy Marxa mieli do czynienia z kategorią wartości dodatkowej, lecz poprzestawali na tem, że jest to odciążenie z produktu pracy. Klasyczna ekonomia mieszczańska poszukiwała co najwyżej stosunku, w jakim produkt pracy rozpada się pomiędzy przedsiębiorcą a najmitą. Socjaliści tymczasem biadali na ten stan rzeczy, nazywając go niesprawiedliwością i szukali środków utopijnych usunięcia tego „niesprawiedliwego faktu.“ Tymczasem Marx zajął od razu inne stanowisko. Pojął on, że nie chodzi tutaj o proste stwierdzenie istniejącego zjawiska ekonomicznego, jak to czyniła ekonomia klasyczna, ani też o zatarg tego faktu z wymaganiami „wiecznej sprawiedliwości“ i „istotnej moralności,“ lecz o zbadanie i analizę stosunku, który jest powołany do zburzenia całego gmachu dotychczasowej ekonomii i jednocześnie dostarcza klucza do zrozumienia najgłębszych tajników społeczeństwa mieszczańskiego. Wartość dodatkowa stała się kamieniem probierzym, a jednocześnie punktem wyjścia dla wszystkich poszukiwań autora *Kapitału*. Żeby zbadać tę kategorię, musiał on naopród poddać rozbirowi, czem jest sama wartość. On pierwszy dopiero wyznaczył, jaka to praca i na jakiej zasadzie stwarza ową wartość. Poddał on wyczerpującej analizie różne zjawiska ekonomiczne i wreszcie wyświetlił rodowód wartości dodatkowej, względem której dotychczas albo

*) Zur Kritik der politischen Oekonomie.

oburzano się jedynie, lub tylko ją gołosłownie stwierdzano bez wykazania procesu jej powstawania.

Skreśliliśmy to przedstawienie rzeczy ze słów Fryderyka Engelsa. Jasno ono oświadcza, że głównym zadaniem *Kapitału* i innych studyów zmarłego krytyka społecznego było poznanie istoty dzisiejszego ustroju ekonomicznego. Lecz doniosłość faktu tego jest większa, aniżeli popchnięcie nauki ekonomicznej na nowe tory. Wyświetlenie tajników nowoczesnego społeczeństwa kapitalistycznego staje się jednocześnie najważniejszym orężem teoretycznym w rękę wyzwalającej się warstwy robotniczej. Jest to zarazem wykazanie, gdzie spoczywa źródło dzisiejszego wyzysku. Z tego punktu widzenia naukowa działalność Marxa jest nieustającą szermierką teoretyczną przeciwko kapitałowi. Naturalnie, chodzi tutaj o chwilę obecną, o wyjaśnienie dążeń i praw społeczeństwa kapitalistycznego. *Kapitał* i inne dotychczasowe prace obracają się więc jedynie w zakresie odpowiednich widnokręgów. Nie znajdziemy tutaj analizy uprzednich formacji ekonomicznych, ani starodawnych, które dogorywały pod rozkładem technieniem kapitalizmu — jest to wyłączny rozbiór ostatniego.

Przy sposobności zauważymy, na podstawie zapewnień z wiarogodnego źródła, że trzeci tom *Kapitału*, z taką niecierpliwością oczekiwany, z początkiem przyszłego roku zostaje oddany w języku niemieckim do druku.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

PRZYSZŁOŚĆ WIEDZY.*)

Paryż, 1 grudnia.

Poglądy społeczne Renana dotychczas mało były znane. Wiedzano tylko, iż jest zwolennikiem rządów arystokracji naukowej i że po zduszeniu Komuny znajdował się w liczbie siedmiu filozofów, którzy kazali wybić Brebantowi medal złoty na znak wdzięczności; mistrz sztuki kucharskiej karmił ich najwyszukańszymi potrawami wówczas, gdy współziomkowie ich zadawali się zdechłą koniną, a szczura uważali za przysmak. Zaliczono więc Renana do obozu zadowolonych i tryumfujących, a przynajmniej do grona obojętnych, jakimi są zazwyczaj mandaryni nauki. Dzieło, którego tytuł powyżej przytoczyliśmy przedstawia nam znanego badacza początków chrześcijaństwa w zupełnie odmiennym świetle. Znajdujemy tu wyznanie wiary demokracji. Rozumie się 40 lat, które ubiegły od chwili napisania tej pracy, ostudziły znacznie młodzieńczy zapał, ale nie zgasiły go widocznie w zupełności, jeżeli autor nie stara się zatrzeć jego wspomnienia.

Zauważmy naprzód, iż Renan był w r. 1848 świadomym zupełnie wielbicielem nauki społecznej, pozytywnej, opartej na doświadczeniu, widzący w naturze i życiu tylko grę i rozwój sił naturalnych. „Byłem już wówczas — mówi on — ewolucjonistą zdecydowanym we wszystkim, co się dotyczy wytworów ludzkości z języków, literatur, prawodawstw, religii, form społecznych.“ Już wówczas był on zupełnie przekonany, iż religia będzie kiedyś miłością bliźniego, siłą, rozwijającą się w sposób naturalny od wieków, w głębi naszego ducha,

którą nauka obecnie odkrywa, jako fakt niewątpliwy. „Jestem głęboko przeświadczony — powiada on — iż religia przyszałości będzie czystym *humanizmem*.“ Na wskroś mylnymi są te poglądy, które twierdzą, jakoby nauka miała usprawiedliwiać w poźyciu społecznym czysto zwierzęcą walkę o byt. Przeciwnie wprowadza ona do tej dziedziny najszczytniejsze ideały, dając im podstawę naturalną, niezależną od przyczyn metafizycznych.

Nauka wreszcie stanie się z czasem jedyną przewodniczką życia społecznego, ona kiedyś wyreźnie ostatnie słowo naszego przeznaczenia i wskaże, w jaki sposób dopiąć celu: szczęścia wszystkich. Dotychczas losami świata kieruje kaprys lub namiętność, rzadko myśl. Polityka jednak ustąpi z czasem miejsca „mistrzynie nauk,“ filozofii, tj. nauce, która bada przeznaczenie i warunki bytu społecznego... *Uorganizować naukowo ludzkość* — oto ostatni wyraz wiedzy nowożytnej, taka jest jej śmiała i prawowita dążność. Ale zanim do tego celu dostrzemy, umysł ludzki pracować będzie nad polepszeniem i reorganizacją społeczeństwa. Niema, zdaniem autora, bezmyślniejszego twierdzenia nad to, że podział na klasy opiera się na naturze ludzkiej. Natura ta jest zmienna, w zależności od warunków, w jakich się obraca: jeżeli nie stała na przeszkodzie reformie politycznej we Francji, to tem bardziej nie będzie stać na przeszkodzie reformie społecznej. „Przyznam się — powiada on — iż po głębokiem rozważeniu dążeń reformatorów politycznych z roku 1789 wydają mi się bardziej śmiałymi, a głównie bardziej niesłychanymi, niż dążenia reformatorów społecznych z naszych czasów.“

Autor wspaniale piętnuje tych obłudników, którzy sami tarzając się w dobrobycie, zarzucają klasom upośledzonym „niższą zazdrość i sromotną chciwość.“ „Jako! — woła — wy znajdujecie występkiem, że oni pożądamy tego, czego sami używacie? Chcielibyście zalecić ludowi zamknięcie klasztorne i powstrzymanie, gdy rozkosz jest całym waszym życiem, gdy macie poetów, którzy ją tylko opiewają? Jeżeli to życie jest dobre, to czemuż go nie mają posiadać? Jeżeli jest złe, to czemu sami doń Igniecie?“ Materyalizm, żądza bogactw mogą zbrukać człowieka i całą klasę społeczną tylko wówczas, jeżeli się stają jedynym celem istnienia — i taki wpływ właśnie wywarły na mieszczanństwo. Samo wszakże dążenie do dobrobytu niema w sobie nic złego. Przeciwnie, jest ono rzutem postępu. „Duch ludzki nie będzie prawdziwie wolny, dopóki nie zostanie wyzwolony od tych potrzeb materialnych, które go poniżają i powstrzymują w rozwoju.“

Przechodząc do praktycznych zadań teraźniejszości, Renan upatruje najpotężniejszą dźwignię postępu i reformy społecznej w państwie. „Państwo — mówi on — nie jest w moich oczach prostą instytucją politycy i porządku. Jest ono identyczne ze społeczeństwem, tj. normalną formą ludzkiego poźycia... Powinno dostarczać jednostkom warunków ich udoskonalenia. Jest to moc twórcza i kierownicza, gdyż społeczeństwo nie jest zbiorem jednostek atomistycznych, lecz jednostką odrębną.“ Pierwszym i najświętszym jego obowiązkiem jest rozpowszechnienie oświaty. Nędza materialna jest wielką klęską, ale daleko większą, zdaniem autora, ciemnota umysłowa. Utrzymywać część ludzkości w ciemnocie i zwierzęcości jest niemoralne i niebezpieczne. Zgasiliśmy piekło, zniweczyliśmy raj. Żadna siła nie jest już w stanie ich wskrzesić. Trzeba więc czemkolwiek zastąpić stare ideały nadprzyrodzone — a to uczynić może tylko oświata. Z drugiej strony ciemnota jest niebezpieczna, albowiem wszystkie wielkie zmiany historyczne odbywają się drogą przewrotów i obecnie ludzkość znajduje się pod ich groźbą. Jedynie oświata może uśmierzyć smutną tę konieczność

i nadać jej najbardziej ludzkie formy. Inaczej będziemy mieli do czynienia z barbarzyńcami.

Wszystkie występki mają, zdaniem Renana, za jedyne źródło nędzę i ciemnotę. Jednostka jest odpowiedzialna za swe czyny tylko wówczas, jeżeli otrzymała wychowanie czyniące z niej człowieka. „Jakiem prawem karzecie nieszczęśliwca, który z trudnością odróżnia dobre od złego, jeżeli, kierowany grubą żądzą lub nagłą potrzebą, wykroczy przeciw społeczeństwu? Karzecie go za to, iż jest zwierzęciem; ale czyż to jego wina, jeżeli nikt nie zajął się nim od młodości, aby go oddać życiu moralnemu? Czyż to jego wina, jeżeli wychowanie dawało mu tylko przykłady występku? I dla zapobieżenia zbrodniom, których nie możecie powstrzymać, nie macie nic, oprócz wygnania i szafotul! Prawdziwym winowajcą jest tu społeczeństwo, które nie potrafiło wychować i uszlachetnić tego nieszczęśliwca. Co za dziwny traf, że prawie wszyscy przestępcy pochodzą z tej samej klasy, i to mianowicie z klasy ubogiej, uciskanej przez nędzę i pozbawionej wychowania. Dajcie biedakowi chleb i oświatę, a nie będzie przestępców. Człowiek nie rodzi się przestępcą — czynią go takim okoliczności.“

Ten pogląd Renana na zbrodnię otrzymuje obecnie, wbrew naukowym twierdzeniom Lombrosa, coraz szersze prawa obywatelstwa. Nietylko francuska szkoła kryminologów przenosi środek ciężkości w tej kwestyi do stosunków społecznych i moralnych, ale i we Włoszech spotykamy oryginalne i wymowne głosy, jak np. Colojanniego, który w drukowanym dziele, wydanem niedawno, dowodzi, iż zbrodnia nie jest bynajmniej przyrodzoną, lecz że źródło jej kryje się w stosunkach ekonomicznych*). Zbrodnię, upadek i występki można — zdaniem Renana — wytępić. Trzeba w tym celu zapewnić wszystkim oświatę i byt materialny. „Doskonałość moralna jest niemożliwa bez pewnego stopnia dobrobytu. W społeczeństwie więc normalnem człowiek powinien mieć prawo do pierwszych podstaw, niezbędnych dla zapewnienia mu życia.“ Autor nie wątpi, iż ludzkość dojdzie kiedyś do takiego stanu, nie objaśnia wszakże, w jaki sposób to nastąpi. Znaczną, a nawet pierwszorzędną pod tym względem rolę przypisuje on państwu. Mało natomiast wagi przywiązuje do lekarstw liberalizmu, jego form politycznych, zapewniających wrzekomo szczęście i wolność wszystkich.

Chrześcijaństwo rozpowszechniło swe panowanie pomimo przeszkód, jakie napotykało. Na tej kanwie autor snuje paradoks, iż rozpowszechnienie nowych idei nie może być zatamowane przez żadne formy polityczne. Przeciwnie, im większy jest opór tych ostatnich, tem większą siłę idee te zdobywają. „Gdy rzeka na wiosnę wylewa, można stawiać tamy dla powstrzymania jej pochodu, lecz fala wznosi się wciąż; na próżno ludzie pracują i starają się, na próżno zalepiają wszelkie szczeliny — fala wciąż się wznosi, aż do chwili, gdy potok przesadzi mur, albo też, obszedłszy tamę, inną drogą zalewa pola, które chciano przed nim zamknąć.“

Taka jest w głównych zarysach treść nowej książki Renana. Dodajmy do tego masę poglądów sympatycznych i oryginalnych, rozrzuconych po całym dziele, które wogóle systematycznością się nie odznacza. Dowodzi on np., iż wszelkie postępy odbywały się i odbywać się będą tylko za pomocą i w czasie przewrotów, że 4—5 godzin pracy dziennej wystarcza będzie, aby zarobić sobie na zupełne utrzymanie, gdy praca zostanie tak uorganizowana, że w społeczeństwie przyszedł wszyscy ludzie pracować będą i umysłowo i fizycznie itd. Między innymi zwraca na siebie uwagę wspomniała krytyka plutokracji, demoralizującego wpływu, jaki ona wywiera na wszy-

*) E. Renan, *L'avenir de la science* (Pensées de 1848), str. 560, Paryż, 1890.

*) Nie możemy się na to zgodzić. Red.

stkie strony społecznego życia, naukę i sztukę. O ile autor pozostał wierny tym poglądom, przypominającym często Bellamego, trudno orzec. Bądź co bądź musiał zachować dla nich pewną sympatyę, jeżeli się odważył ją ogłosić.

L. W.

TALENT NA RYNKU.

I.

Onego czasu przyjechał do naszego grodu chińczyk porcelanowy, który co chwila rozdział gębę, pokazywał język, kiwał się i miał wielki brzuch. Ustawiono go jako wielkie dziwo w oknie składu herbaty i — niebawem gawędz zaczęła oblegać okno i zapelniać wnętrze sklepu. Właścicielowi pomysł ten napędził sporo grosza do kabzy, co widząc inni kupcy rywale, żółkli i zzielenieli z zazdrości — i dalej sprowadzać sobie takich samych chińczyków.

Podobne zjawisko oglądać można co rok mniej więcej, w wielkich magazynach już nie herbaty, lecz wody, nazywających się dziennikami, kuryerami, gazetami i t. d. I dzięki temu literatura nasza zubożoną została o cały zastęp cudów wystawowych, których nazwiska — no, ale *nomina sunt odiosa*.

Wszystkie papierowe gońce mądrości codziennej paradyżują dziś temi objawionemi firmami. Cóż robić? Tłum domaga się chińczyka z dużym brzuchem, dostrzeżonego pod jednym z szyldów dziennikarskich. Jeśli go nie wystawimy i u siebie — mówi wydawca lub redaktor — marnie zginie.

Po ukazaniu się *Dewajtysa* zaczęto p. Rodziewiczównę wyrwać sobie z rąk i — rzecz prosta — za jej własnem pozwoleniem. Zapalu konsumentów nie ostudziły nawet obce domieszki w nabywanym przez nich towarze. Francuz lub prusak w bułce to u nas rzecz aż nadto zwykła, coż więc mogło kogo obchodzić, że w *Dewajtysie* siedziała sobie najspokojniej cząstka niemieckiej pisarki, pani Manteuffel, jeżeli nie jej głowa, to coś w rodzaju tułowiu? Powieść była w rzeczy samej piękna, przesycona nawskroś duchem swojskim. Opromieniała ją jedna, wyrazista dosyć i silna indywidualność i ożywał charakterystyczny, młodzieńczo-apostolski zapach, szczerą namiętną prawie poezją natury, a więc żywoły, w takim stosunku stojące do flegmy niemieckiej, jak stary węgryń w omszałej butli do piwnego cienkusa w niezdarzym kuflu. Choćby więc nawet autorka nie była się wyparła kategorycznie bliższego pokrewieństwa z utworem owej pisarki, precudownie-bliźniaczo podobnym do *Dewajtysa* swą kompozycją, i nie zasłoniła się honorem, który w imię tegoż literackiego honoru uszanować jest naszym formalnym obowiązkiem, to i wtedy jeszcze płomienna gawęda o starym zniczu-dębie nie przestała by być dziełem samorodnego, jawnego talentu. Poezja dozna może z czasem losów sztuki i cenić w niej będziemy rozmaite czynniki artystyczne, jak uczucie, temperament, pejzaż, psychologię, propagandę nawet wówczas, gdy czynnik inwencji, własnego pomysłu, zniknie z ogólnego porachunku. Toć już dzisiaj połowa naszych nowel i romansów to tylko warianty jednego, grożącego stać się akademickim tematu: Pieśń o ziemi...

Ta chwila, w której *Kuryer warszawski* zarzucony dziękczynnymi listami czytelników „obstałował“ u panny Rodziewiczówny drugie arcydzieło, była dla jej przyszłości fatalną — jednocześnie bowiem wszyscy współzawodnicy porobili u niej takie same zamówienia. I ujrzelismy naraz kilka egzemplarzy nieszczęśliwego chińczyka. Że go jednak odlewano na prędce, więc wypadła tandeta. Niektóre jej okazy są wprost skan-

daliczne (Kwiat lotosu) i godne co najwyżej kalendarza z sennikiem egipskim i żadną też miarą nie mogą zasługiwać na wzmiankę sprawozdawczą czy krytyczną. Inne zaś lichotą swoją bezdenną i preten-sjonalną robiłyby wrażenie nieledwie wybryków chorobliwych zdolnego umysłu, gdyby złośliwa, a kto wie, może i prawdziwa fama nie postawiła innej, mniej lekarskiej dyagnozy: oto że p. Rodziewiczówna stawia w swoim majątku gorzelnię i potrzebując na ten cel 14,000 rubli, wyrabia powieści hurtem i gorączkowo. Nie wchodzę w to, czy tak naprawdę brzmiała rzekoma spowiedź panny Rodziewiczówny i czy wogóle nie zawiniła tu osławiona „przewrotność“ ludzka — dosyć, że wszystkie pozory prawdy są. Być może, iż ziściwszy swoje marzenie, młodzianka laureatka, będzie tworzyć rzetelny nektar — to wszakże, co dziś ona pędzi, jest zwyczajną siwuchą.

W obronie smutnej pamięci *Onej* stanął nawet ktoś całkiem poważnie w jednym z tygodników, wychodzących nie na miejscu. Szanowny apologeta oczywiście chciał sobie z niej zażartować i to go chyba natężyło cudownym domysłem, iż autorka *pragnęła* pewnie na złość materyalizmowi, naturalizmowi i wszelkim innym „izmom“ dzisiejszego piśmiennictwa odmalować ideał cnoty i anielskiego poświęcenia w *Kostusi*. Lecz, pytam, co może obchodzić ludzi przytomnych czyjeś tajone pragnienie, skoro przyobleczone w ciało, w formę powieści, wygląda szpetnie, uciésznie i prowadzi wojnę na śmierć i życie z elementarnymi prawami logiki i zdrowego rozsądku? *Nad przepaścią* Emila Gaboriau stoi o całe niebo wyżej od *Onej*, a przecież zawsze w inwentarzu literackim stanowi tylko pajęczynę. Cała różnica, że odpadki sklepowe, nagromadzone w niej, są resztkami dosyć świeżymi, a nadto materyi ładnych, bo Rodziewiczówna umie zdobywać się na język prawdziwie ładny, ilekroć stanie oko w oko z przyrodą, polem, knieją, łąką lub rzeką.

Doprawdy, gdy sobie przypominam o-wych dwóch Sewerów, jednego — głośnego autora, a drugiego — Seladona-bohatera, występujących jednocześnie na dwu kolumnach *Kuryera warszawskiego*, to zdaje mi się, że widzę w zmniejszeniu podobiznę naszego bractwa wzajemnej i nieustającej adoracji. Tu mierny komedyopisarz, wdęty w geniusza, plecie duby smalone p. t. *Do słońca* o jakichś pociągach magnetycznych, tam, o szpalte dalej, zidyociały bohater romansów zbojeckich, wydobyty z fantastycznego lochu, wlecze się „jak cień“ — dla czego nie jak ciebie? — za swoją eks-bogdanką.

Takich mamy pisarzy i takie fabuły.

Czyż zresztą może kto światelkiem krytycznym choćby musnąć tylko porcelanowego chińczyka, skoro jest on wabiem w rekach wszystkich? Ktoby mógł rzec słówko ostrzejsze o literatce, jakie pismo — skoro dla każdego z nich ona już napisała, pisze, albo pisać będzie?

Czy dzięki temu, że owa symboliczna gorzelnia jest już pod dachem, może, i szczęśliwa jej właścicielka z głównych tarapatów wybrnęła, czy też, że okliwio się samej zrobiło od wszelakich odgrzewanych, lecz mimo to stęchłych „romantycznościów“ — jak mówi Słowacki — ale ostatnimi czasy rzuciła się znów na wiecznie żywą niwę „zacnej“ i „szlachetnej“ tendencji. Płodem, na tym gruncie wyrosłym, są naprzód *Błękitni*.

Naiwnym byłby, ktoby sądził, że żywiołem, w którym się kąpią ludzie i sceny tej powieści — jest sfera prawdopodobieństwa. Panny Rodziewicz nie odstraszył bynajmniej smutny wypadek, jaki się zdarzył Ikarowi, i wzorem jego wciąż przylepia sobie woskiem skrzydła do ramion. Błękitni to pyszni książęta, władający setką kłuców, dziedzice olbrzymiej fortuny rodowej; nie odstąpili oni ani na jotę od tradycyj-

nych fumów i otaczają się blaskiem, ceremoniałem, kornością sług i urzędników, na podobieństwo dawnych magnatów Potockich i Radziwiłłów. Najstarsza między nimi, księżna matka siaduje na tronie, dzieci zbliżają się do niej jak do ołtarza; dokoła niej panuje gorsetowa sztywność, ludzie mają kłódki na ustach, łód w sercach a w głowach — pijane dymy kadzideł arystokratycznych.

Wskutek nieszczęśliwej śmierci starszego z synów — spadł jakoby z napół-dzikiego rumaka — ster domu i przedstawicielstwo dostają się do rąk młodszego. Jest to paryżanin, wyblakły i wypłowiały, kandydat na morfinistę, człowiek, w którym życie i używanie tak wypaliły wszelką treść wewnętrzną, że go trzyma na ziemi jedynie poczucie obowiązku rodzinnego i brak energii, potrzebnej do przetrwania nudnych dni. Ten oto wyborowy okaz ostatecznego *spleenu* zostaje przez autorkę powołanym do rżenia cudownego mostu między karmazynów i szlachtę uboższą, i za jego sprawą do pustych żył butnych panków wlewa się świeży i zdrowy potok krwi mniej błękitnej.

Zwykła rzeczywistość, której puls każdy z nas trzyma poniekąd w ręku, nie nastęrczyła nam dotąd ani jednego jeszcze podobnego cudu; hrabiowie i baronowie raczą do niższych swych braci przechodzić tylko po moście złotym, jako zrujnowani łowcy dużych posagów, więc autorka dla zjednania sobie wiary czytelnika, wzięła do pomocy rozczochraną fantazję i wplotła w wątek zadawniony spór graniczny ze szlachtą zagrodową. Ubarwiła go krwią, ubrała w pożary i mordy, w dzikie wybryki zemsty, przypominające egzekucje w Siczy, której świadkiem był Skrzetuski, albo potworne koncepty Kuklinowskiego z *Potopu*. Zakończyła go zaś prawem okrucieństwem księcia Lwa, dzisiejszej głowy domu, płynącym nie tyle ze złego serca, ile z obrażonej natarczywością wroga — buty. Wszakże widok starca bez duszy, w chałupie, zwalonej na mocy wyroku sądowego, tak silnie wstrząsnął książką, nienawykłem do innych, prócz erotycznych, wzruszeń, że sprawia w nim przełom i — oto mamy jedną przyczynę głębszego zastanowienia się „błękitnego“ nad sobą i światem.

Drugą jest pewna słabość, coś w rodzaju przyjaźni dla młodego rolnika z sąsiedztwa, z którego siostrą Lew bawił się w wczesnej swej wiosnie w sielanke. Promienie siły, dzielności i zdrowia moralnego, bijące z całej postaci jego, budzą w zmartwiałej istocie wytwornego gagatka przedsmak lepszego życia i zazdrość celu. Dąb krzepki łagodnie tuli do siebie bluszczową łodygę, technie w nią zapal, myśli obywatelskie i sprawia ożywienie swym wpływem, tak iż spopielały prawie umysł „błękitnego“ zaczyna tlić się, nawet płonąć i po prostu funkcjonować. Nieobecność reszty jasnie oświeconych sprzyja mocno tej metamorfozie, która sięga aż tak głęboko, że rozżarzyła nawet iskierkę uczucia dla ideału lat młodzieńczych i oto pojednanie ze szlachtą przypięczętowane zostało związkami krwi. Sami błękitni krok ten przyspieszyli cynicznym rzuceniem cienia na stosunek do młodej kobiety.

Czarowne baśni o królu zakochanym w pasterce i o królowej, rozmiłowanej w pasterzu są i chyba po wszystkie wieki zostaną ulubionym motywem — pisarek. Dzisiaj rzeczywistość uraga trochę tym marzeniom, ale nie spłoszyła ich zupełnie. To daremne; można przecie nadać czułym romansom tło idei społecznej, kazać im grać rolę programu i — skała ominięta, a pobudka całkiem usprawiedliwiona! Tylko, że nasze i świata władczynię zapominają, iż takie powieści to zawsze bądźco bądź dedukcje artystyczne, które trzeba starannie uprawdopodobnić. Już to dziś takie znikczemniałe pokolenie, że bajki z tysiąca i jednej noy nazywa niedelikatnie bajkami, cho-

ciaż Szeherazada była pono kobietką, o wiele ładniejszą od wszystkich poetek obu półkul. Nasz mózg lubi słiczne obrazy i widoki i gotów się niemi zachwycić i podrygiwać z radości, ale jeśli jednocześnie z nim skacze złośliwy chochlik niewiary i, klaszcząc w dłonie woła: Nieprawda! Nieprawda! — wtedy ową tak zwaną rozkosz estetyczną biorą djabli, a zostaje suche mędrkowanie, po które nie trzeba się udawać aż do literatury nadobnej.

Powieść lub poemat, pragnący wzruszyć nas fabułą *możliwą*, osiągnie swój efekt nie raz przy *minimum* prawdziwości swych postaci i scen; dosyć też, by jak u romantyków ocalały pozory ludzi, a zamierzone uczucie zbudzi się u nas, rozumie się — tem silniej, im ludzie będą mieli więcej krwi i kości; ale żeby uwieść nas i zapalić cudem, trzeba pokazać, że on cudem nie jest tj. zrobić nas świadkami, widzami wszystkich sprzecz i procesów, składających się na dany rezultat. I Quasimodo, i ojciec Madeleine, i nawet Mefistofeles, i Kain i wszyscy im podobni grają nam po duszy, bo wzięci pod światło zgadzają się ze wszystkimi prawami psychologii i logiki i nikt nie wymaga, ażebyśmy patrzyli na nich jak na cuda spirytyzmu: w gęstym mroku, albo jak na produkcje magików — z odległości piętnastu łokci.

Orzeszkowa dziś już dobrze pojmuje ten pewnik i, żeby uczynić prawdopodobnym taki sam związek chemiczny dwu rodzajów krwi, związek nawet łatwiejszy w życiu do urzeczywistnienia, namozoliła się ogromnie. Setkami pobudek wewnętrznych i bodźców zewnętrznych i długim męczącym samorozwojem i dojrzewaniem uwarunkowała miłość szlachcianki pięknej i wykształconej dla rolnika schłopiałego, a i pomimo to jeszcze nie zdołała uspić tego psotnika, co w naszej głowie woła: Nieprawda! nieprawda! Ale w *Nad Niemnem* po za sielanką jest świadoma epopeja à la Homer, która zapewni autorce nieśmiertelność, tam — złożono skarbiec zjawisk przyrody litewskiej i dusz litewskich, zwyczajów, podań, ideałów, typów, wierzeń, zajęć, pojęć, słowem tak jak w legendowym bursztynie zamknięto na zawsze, zaklęto i zabezpieczono żywą istotę, istny *mikrokosmos*.

A *Błękitni*? To trywialna parodia epopei nadniemieńskiej.

Cezary Jelenta.

Z MUZYKI.

Jest nadzieja, że dopóki nie przyjedzie na pijanym osłe bożek karnawału, ażeby luzować wszystkich innych bawiących nas bogów — muza melodyj wytrwale świecić nam będzie. Tak muzycznego, jak bieżący, sezonu, nie mieliśmy jeszcze nigdy, i z prawdziwą rozkoszą nieprzyjacieli wełnianych (na księżycu) wieczorków i tym podobnych żywiołów rozrywki może zaniechać dawnej swej żalostnej skargi: że u nas, w Warszawie, można wieczorem skonać z nudów. Codzień bowiem niemal mamy koncert i to nie byle jaki.

Zostawiając sprawozdawcom z zawodu ocenę wszelkich bigosów instrumentalnowokalno-deklamacyjnych, podnieść musimy występy poważniejsze, dające nam muzykę w stylu szerszym i mniej homeopotycznymi dozami.

Prawdziwie nowo-odkrytą gwiazdą był skandynawczyk Bernard Stavenhagen, uczeń Françoiszka Liszta. Kto pragnął dla ucha pieszczoty tonów, ten mógł się na nim zawieść, a że wszyscy przywykliśmy żądać od muzyki melodyi, więc wszyscy prawie zawiedliśmy się potrosze, podziwiając nieprzytomne chwalby i pijane zachwyty, jakie poprzedziły jego udział w wieczorze Towarzystwa muzycznego. Gra jego sucha,

nielitościwie sucha — tnie na frazesy, niby w deklamacji odstając jeden od drugiego, wszelką melodyę i stale hołduje tempu przyspieszonemu. Pewnie dzięki temu, sonata Liszta sprawiła wrażenie utworu bez żadnego wyrazu, a osławiona *Quasi una fantasia* Beethovena, w swej części drugiej kontrastującej tytanicznym porywem z przynębną elegią wstępu, postrzępiła cudowny motyw na gniewne okrzyki i nie więcej. Dosyć dziwnem było wobec tego, że Preludium Szopena wypadło pięknie, śpiewnie, głęboko i z uczuciem.

Artysta ten nie jest najwidoczniej upośledzony od natury na punkcie uczucia, lecz je po doktrynersku wypędza z muzyki. Tę rozmyślność, coś w rodzaju anti-sentymentalizmu, wyczuć można bardzo dobitnie. Natomiast siłę i biegłość posiada ogromną i tam gdzie może niemi szafować dowoli, gdzie ich kompozytóra wymaga — Stavenhagen zdumiewał i porywał. To właśnie miało miejsce z Rapsodyą i Campanellą Liszta, których nikt inny może by z takim charakterem nie odtworzył. Prawdziwym majstersztykiem był jeden z najpiękniejszych na świecie poematów muzycznych: „Król Olch“ Schuberta. Wirtuoz traktował go całkiem odrębnie, rzechy można, iż naturalistycznie; zachowując tempo śpiesznego cwału konia, na tym efekcie, jak na tle, przeprowadził z ciszą i skupieniem, w tem samym tempie, czarodziejską, zwodniczą melodyę tajemniczego ducha. Była w jego grze groza i prawda niemal plastyczna.

Zupełne przeciwieństwo z nim tworzy Alfred Reisenauer, który zapełnił sam jeden cały wieczór w Resursie Obywatelskiej, i ma nas poczęstować drugim. Bohater zeszłorocznych oważy mógł sobie na widok dosyć słabo wypełnionej sali powiedzieć: Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Ale gdyby wiedział, co się u nas działo po jego dawniejszych koncertach, musiałby się uśmiechnąć ironicznie, boć cała ta zmiana gorąca na lodowy prawie chłód była dziełem wmówienia, sugestyi jednego krytyka. Kto jednak nie stanowi podatnego do hipnozy medjum, ten przyznać musi, że gry Reisenauera nie można bez popełnienia nonsensu zbyć sykaniem literackiem.

Co prawda też, nie wyobraza on indywidualności tak odrębnej, jak chcą inni. Przeciwnie, on właśnie obniża swą cenę pospolitemi efektami. Wciąż jeździ na gwałtownych kontrastach pianissima i fortissima, lubuje się w echach i ozdabia niemi nietylko tak nadającą się do tego przez swą czułośćową niemiecką „Ständchen“ Schuberta, ale nawet Nocturny Szopenowskie, które powinny by być całkowicie wolne od obcych domieszek, zwłaszcza takich, co są w repertuarze Reisenauera uniwersalnym sosem. Podobnie trudno lubować się bezustannie w efektach burzy, apoplektycznych finałach itp. Co jednak najważniejsza, artysta ten w rzeczach wymagających wdzięku, elegancji i wytworności, jak w słynnym „Pastorale“ Scarlattiego lub lirykach Szopena zdobywa się tylko na powierzchowność, płytkość i pewną trywialność tonu.

Z tem wszystkim jednak, tam gdzie nie chodzi o nadzwyczajną, nerwową subtelność, okazuje on istic fenomenalną siłę, cudowną miękkość prawej ręki, przedziwną śpiewność i niechybność rzutu akordowego. Mistrze naszego konserwatorium, wielcy akademicka sztywnością zachowywali się na koncertach z ostentacyjną „nonszalancją“, która graniczyła z nieprzyzwoitością i narzekając, iż Reisenauer tylko „hałasuje“ — sami hałasem swym przeszkadzali słuchać. Z jakim olimpijskim politowaniem szli oni do domu w połowie wieczoru!

Piątkowy koncert symfoniczny pod kierunkiem p. Rzebiezka, był jednym z najszcześliwszych. Pomijając bowiem, że przypominał słuchaczom słiczną „Glückfahrt“ Mendelsohna, ładną uwerturę Goldmarcka „Im Frühling“ i symfonię Schumana (B major), bardzo przyjemną i pełną świeżości,

dał możność usłyszenia p. Barcewicza, który zanim z koncertem własnym wystąpi, tymczasem odegrał z ogromną siłą i czystością tonu, mniejszą co prawda z początku, najeżony misternymi trudnościami błyskotliwy koncert Joachima. Motywy hiszpańskie Sarassatego i węgierskie Nachsza z pod smyczka naszego skrzypka wyszły nieposzlakowanie pięknie, a „Abend lied“ Schumana wywołała słuszny zachwyt.

Barcewicz to *sui generis pendant* do Żółkowskiego. Znakomity, skromny i bojaźliwy. Nic przeciw temu nie mamy, że nie produkuje się za granicą, ale dla czego tak skąpy jest dla swoich?

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ruch ku dołowi. — Niedawne wspomnienia. — Gra, w której Nencki jest atutem. — Jego błagalne prośby. — Nieladnie się bawimy. — Hr. Tarnowski prezesem Akademii umiejętności. — Instytucja galicyjsko-krakowska. — Zaloga teatralna w *Tygodniku ilustrowanym*. — Pouczające zestawienie. — Nowi nabywcy książek. — Jedyna sfera. — Zagraniczni kontrolerzy naszej biedy. — Dobre serce Lucii i nasza dla niej wdzięczność. — Obowiązek chłopów, którzy jej nie słyszeli.

Zjeżdżamy na dół. Przed laty piętnastu, osiemnastu, kiedy rzeczywiście weszliśmy w okres rozbudzonego ruchu umysłowego i poszanowania dla nauki, ani *Kuryery* nie rozstrzygałyby, kto pierwszy zbadał istotę gruźlicy i wynalazł sposób tłumienia jej, ani magnetyzerowie nie orzekaliby w nich o wartości środka leczniczego, którego nie znają i z którym żadnych doświadczeń nie robili. Musi być źle, skoro akademicka *Gazeta lekarska*, która zwykła milczeć w kwestjach bieżących, nawet zakresem jej kompetencji objętych, założyła energiczny protest. „Przyzwyczajeni jesteśmy do tego — powiada ona — że pisma brukowe lubią w sprawach naukowych głosić efektowne fałszy; ale tym razem uważamy za obowiązek zaprotestować“ przeciwko podnoszeniu w górę „rodaka“ Nenckiego i deptaniu przy tej sposobności niemca Kocha, zwłaszcza że ten rodak niemcom zawdzięcza swą sławę. Wszystko to jest słuszne, ale kto do *Kuryerów* wprowadził całą tę sprawę? Przedewszystkiem lekarze, którzy w korespondencyach z Berlina ciągle w nich rozprawiali o metodzie Kocha i o wynikach szczepień bez należytej ostrożności. Bo ileż to oni w słuchającą ich rzeszę rzucili zdań stanowczych i nieopatrnych, przesądających w ostatniej instancyi to, co jeszcze pierwszej nie przeszło? Według mojego zdania tylko Bujwid, a później Heryng pojechali do Mahometa berlińskiego z celem jasnym, a wrócili z osiągniętym: przywieźli limfę, rozpoczęli ją szczepić w klinikach warszawskich, starannie obserwować jej działanie, słowem, sprawdzać naukowo nowy środek, o którym dopiero po dostatecznym szeregu własnych i cudzych doświadczeń będą mogli powiedzieć, co świat w odkryciu Kocha zyskał. Wszelkie pesymizmy lub optymizmy z powietrza czerpane, wszelkie głosowania wyborców i deputatów opinii publicznej, wszelkie orzeczenia biegłych z ulicy, wszelkie logiczne i nielogiczne gadaniny kumów i kumoszek są śmiesznym, dziecinnym i bezmyślnym gwarem wobec poważnego i ścisłego badania naukowego, w którym wątpliwości rozstrzygać może tylko specjalna wiedza i sumienna eksperymentacja, a nie ruszanie językiem na jedną lub drugą stronę. Ogół jest zbyt zainteresowany w tak ważnej sprawie swego zdrowia, jak choroby gruźlicze, ażeby nie miał dowiadywać się o ka-

złym nowowynalezionym przeciw nim środku, o każdym postępie nauki medycznej; więc owszem, pouczajmy go, nie zaślaniajmy mu oczu i nie zatykajmy uszu, ale nie mamy umysłów paplaniną o przedmiotach, o których nie mamy dokładnego wyobrażenia. Nie zapominajmy, że w Kochach, Nenckich itd. spoczywa geniusz, praca, wiedza, sumienność, z którymi nie można się tak obchodzić, jak ze zdolnością przystrajania kapeluszków lub wyrabiania mydeł. Ich badania i odkrycia nie są ani zrozumiałe dla każdego rzemiosłem, ani szarlataneryą, obliczoną na łatwowierność. Mamy przed sobą majestat ludzki, który trzeba uczcić. Ten Nencki, którego koniecznie chcemy uczynić tużem wobec niemieckiego waleta Kocha, doznaje oczywistej przykrości, widząc, jak prasa brukowa w jego rodzinnym kraju rozgrywa sobie partię kiksa kartami, na których oznaczone są: enzymy, peptony, toksalbuminy, laseczniki itd. Daremnie jednak błaga, ażeby zaprzestano tej zabawki i nie mieszano go do niej nawet z godnością wysokiej figury. A przecież należy go usłuchać, bo on i jego współpracownik Sahli nie są Kuźnikiem i Szmitem, a Koch i Brieger, który jakoby miał im wykraść tajemnicę — Wyroskiem i Pawlakiem.

Z Krakowa nadeszła wiadomość prawdziwie krakowska: Majer rzekł się prezesostwa w Akademii umiejętności, a na jego miejsce obrany został... St. hr. Tarnowski. Komendantowi stańczyków nie zaprzeczamy ani uzdolnień, ani pewnych tytułów do znaczenia literackiego; ale jeżeli w dziedzinie piśmiennictwa jest człowiek nieodpowiedni dla tego stanowiska, to przedewszystkiem p. Tarnowski. Akademia umiejętności ma być instytucją naukową, niezależną od wszelkich stronnictw i walk polityczno-społecznych, od zatargów dnia i dążeń partyjnych, tymczasem nowy jej prezes jest naczelnikiem stronnictwa wojującego, ściśle galicyjskiego, poddającego wszelkie inne względy rachubom praktycznym i najczęściej gwałcącym naukę dla polityki. Żaden żywioł, żadna partya nie odmawia jawniej i zuchwalej wiedzy praw do niezawisłości, niż stańczycy, bądź w imię interesów władzy, bądź w imię interesów Kościoła. Opanowali oni Akademię już dawniej, a wysunięcie jednego z nich na najwyższe jej stanowisko nie zmienia ducha tego ciała; ale obdarzenie najwyższą godnością członka najskrajniejszego świadczy o lekceważeniu nawet formy, nawet pozorów bezstronności. I Majer bardziej przechylał się ku prawicy, niż ku lewicy, ale w każdym razie nie był to sekciarz, fanatyk, dowódcą wiecznie bojującej wyprawy krzyżowej, więc on mógł być wyobraźnikiem różnorodnych kierunków myślenia i działania. Pojmujemy to, że skoro każdy człowiek należy do jakiejś chorągwi, trzeba na przewodników powoływać ludzi z tego lub innego obozu. Ale jeżeli żaden parlament nie powierza swego steru takim, którzy złożyli dowody zapalczywej i nietolerancyjnej wyłączonej, to Akademia, nie będąc areną walki stronnictw, ale przybytkiem równouprawniającym wszelkie kierunki naukowe, powinna o to dbać jeszcze więcej. Nie podnosilibyśmy tej sprawy wcale, gdyby krakowska zebrała sobie garnitur członków z Krakowa lub Galicji, gdzie stańczykostwo ma przewagę. Ona wszakże rozszerzyła swoje ramy znacznie dalej, zgarnęła do swego grona (choć ogólnie) ludzi z innych dzielnic, którzy barw stańczykowskich nie noszą i ani za swego przewodnika, ani za powagę naukową p. Tarnowskiego nie uznają. A może Akademia krakowska chce być istotnie krakowską lub galicyjską, w takim razie niech to objawi wyraźnie, a wtedy nie będziemy się wtrącać do wyboru jej prezesów, jak nie wtrącamy się do wyborów gwardyanów i przeorów.

Prasy drukarskie, zmęczone odbijaniem

podobizn aktorów i aktorek w naszych piśmach, musiały wykonać nowy i największy tego rodzaju trud. *Tygodnik ilustrowany* bowiem z powodu restauracji Teatru Wielkiego przedstawił nam całą jego załogę, poczynawszy od znakomitych artystów, a skończywszy na balacie i woźnych. Jest to chyba najdalej posunięta pobożność dla tej świątyni. Ukazano nam bowiem (i potomności) istoty, o których dotąd wiedzieli tylko krewni, znajomi i administracja teatralna. Natomiast pominięto tych, którzy powinni byli znaleźć się na pierwszym planie i którzy głównie podtrzymują instytucję — autorów scenicznych. Pod tym względem kurtyna postąpiła sprawiedliwiej, niż *Tygodnik*. Gdyby przynajmniej spisano nazwiska dramaturgów i komedypisarzy, których sztuki grane były w naszych teatrach wraz z cyframi przedstawień komedij. Wykaz taki nauczylby nas wiele: dowiedzielibyśmy się z niego, jaka literatura dostarczyła nam najwięcej utworów, w jakim stosunku nasza pozostawała do obcych, jakie rodzaje twórczości najbardziej odpowiadały naszym upodobaniom, jacy pisarze polscy i w jakim stopniu przyczynili się do rozwoju teatru i najchętniej ich słuchano. Byłoby to zestawienie tak pouczające, że warto je podjąć niezależnie od *Tygodnika* lub w związku z nim. Odzwierciedliłoby ono jedną dziedzinę naszego życia duchowego i powiedziałoby nam więcej o naszej pracy artystycznej, gustach i ich kierunkach, niż wizerunek baletnika lub kasyera.

Nareszcie *Kurier warszawski* wynalazł ludzi, którzy kupują książki. Mają to być włóścianie, którzy w dnie targowe nabywają dość licznie elementarze. Naturalnie nie ożywią oni naszego ruchu księgarskiego, którego zastój jest strasznym i niewątpliwie wywoła wkrótce bankructwa, ale w czasach ogólnego wstrętu do „drukowanej bibuły” (tak obecnie nazywa się nasza literatura) dobrze, iż przynajmniej ci prostaczkowie ocalają jej istnienie. Podobno tu i owdzie chłopci spieszą, jeśli nie z ratunkiem, to ze współczuciem dla upadających dworów; kto wie, czy oni kiedyś jeszcze nie będą przybywali jako orszak żałobny na pogrzeb zmarłej redakcji lub księgarni. Od „braci inteligentniejszej” nawet tej posługi spodziewać się już nie można. Wyzumowawszy, że literatura „jest jeszcze jedyną sferą, w której” itd., postanowili ci szanowni obywatele trzymać się od niej z daleka i obojętnie patrzeć, jak ta „jedyna sfera” kurczy się coraz bardziej. My tak zawsze: doszedłszy do wniosku, że trzeba popierać przemysł krajowy, nabywamy obcy; entuzjazmując się dla swego języka, rozmawiamy bardzo chętnie po francusku; narzekając na biedę, wyprawiamy kosztowne bale — itp. To też sądzę, że jeżeli nadejdą czasy, w których nie będziemy uważali literatury za „jedyną sferę”, nie będziemy popierali przemysłu krajowego, nie będziemy kochali swojego języka i narzekali na biedę, zaczniemy postępować akurat odwrotnie i właściwie. Czy wtedy i chłopci przestaną kupować elementarze?.. E, nie, to są tacy dziwni ludzie, że według nich 2 razy 2 wypada 4, a nie — Hanibal, jak mówi Dickens.

Aż dwie niewierne istoty przyjechały z zagranicy sprawdzić naszą biedę i przekonały się, że narzekamy bardzo słusznie, skoro dla usłyszenia ich rozkupiliśmy wszystkie bilety po wysokich cenach. Naprzód grał nam Reisenauer, jak poprzednio — według jednych znakomicie i nieporównanie, według innych — partacko. Następnie śpiewała Lucca. Ta dama złożyła nam dowód szczególnej życzliwości. Ponieważ straciła już głos, przerywa występy publiczne i zamierza wyłącznie poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, więc przed wycofaniem się postanowiła nas uraczyć resztkami swego talentu. Nie zejść z estrady — myślała ona zapewne — nie zaśpiewawszy jeszcze raz

tym najdroższym mojemu sercu warszawiakom, o których zapomniałam podczas młodości, ale których za to wynagrodzę teraz — czem moja chata bogata. Nie zadowoliliwszy ich, nie miałabym spokojnego sumienia w starości, bo to naród cierpliwy, skromny i wyrozumiały, a przytem płaci, płaci za wszystko, co mu się poda. I oto pod wpływem tych pragnień i wzruszeń przyjechała do nas pocziwa Lucca z wielkimi lukami w głosie, ale z całkowitą dla nadwiślańsympatyą. Przyjęliśmy też ją „burzą oklasków”, uczuciami głębokiej wdzięczności, kieszeniami na jej cześć opróżnionymi. Co posiadaliśmy lub co mogliśmy pożyczyć, to ofiarowaliśmy za szlachetną pamięć. Po takim wysiłku niechże teraz nikt od nas nie wymaga, ażebyśmy kupowali książki lub prenumerowali pisma. Niech to czynią chłopci, którzy nie słuchali Luccy.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

„Jagnię” chrześcijańskie a „wilk” semicki. — Źródło partactwa żydowskiego w rzemiośle. — Rada przyjaźielska. — Figiel emigracyi. — Parcelacya jako jedna z przyczyn wychodźstwa ludowego. — Wstręt do niej chłopów w niektórych miejscowościach. — „Czerwony kogut”, jako zbawca...

Jakiś ślusarz, wielce dbały o postępy przemysłu krajowego, wystąpił w *Gazecie radomskiej* z obroną szewstwa aryjsko-chrześcijańskiego wobec semicko-mojeszowego. Zapragnął im swoją latarką drobnomieszcząską rozproszyć mroki, pokrywające zagadkę obecnego zastój szewckiego w kraju. I otworzył się nam pod jej promieniami — widok... Kozłem ofiarnym tego przesilenia są żydzi handlarze, którzy, widząc wielki zbył obuwia w Rosyi, rzucili się na nowo odkryty „geszeft” i „gwałtownym a nieuczciwym wyzyskiem” zepsuli dobrą opinię, jaką tam przedtem cieszyło się polskie obuwie. Inaczej było przed dziesięciu laty, a inaczej jest dziś. Obecnie obroty majstrów zeszczuplały, bieda największe wycisnęła piętno na położeniu czeladzi, niedawno jeszcze tak wyrwanej sobie wzajemnie, dziś zaś zaledwie wyżyć mogącej ze skromnego zarobku, częstokroć zupełnie już niedostępnego. Tak w zastój szewckim, jak i niemocy innych rzemiosł sprawcą jest „żyd-wyzyskiwacz”, i tylko on. W drobnym przemysle rozrósł się niepomierne, „przemógł swoją próżniaczą naturę i wziął się za piłę, młot i hebel.” „Mógłby mi kto uczynić zarzut, że odmawiam ludziom rehabilitacyi, że zwrot z drogi lichwy i szacherki na drogę pracy produkcyjnej jest pięknym objawem ze strony żydów i że objaw ten należy popierać najgoręcej.” Ale nie boi się tego ślusarz-chrześcianin, bo taki zarzut spotkać go może tylko ze strony optymisty, śniącego o „skutecznej reformie i poprawie wyzyskiwaczy.” On, rzemieślnik, na tę sprawę patrzy zupełnie inaczej. Był narodów zdobywa się uprzednią ofiarą — „mozolną a długą pracą.” „U nas w kraju prawie dotąd rolniczym, zanim doczekaliśmy się choćby dzisiejszego stanowiska przemysłu, ileż to trzeba było zmieścić przekonania, zwalczyć uprzedzenia, nabyć wiadomości i przejść ciężkich prób.” I kiedy to wszystko się stało, kiedy „boża czeladka” zasiadała z ostrym apetytem do biesiadniczego stołu wymiany produktów pracy: „żyd-wyzyskiwacz” przypatrywał się ostrożnie nowym dla siebie rzeczom i czekał cierpliwie, aż się rozwiną. „Dziś już on uprawia tę samą niwę (wyzysku siły robotczej — dodajmy) wraz z rzemieślnikiem-chrześcianinem. Mając jakiś talizman, którym otwiera serca różnych panów, członków komisji odbiorczych itd., „zdobywa coraz szersze kręgi naszych stosunków i wypiera nas wszę-

dzie lub mści się obniżką cen za partackie wyroby! Przejmuje trwogą ślusarza myśl o dużym procencie żydów rzemieślników w Radomiu i Lublinie, a wszystko ze względu na przyszłość rzemieślników-chrześcian.

Wszystko tu w tym akcie oskarżenia przeciw najazdowi żydów na rzemiosło, tę produkcyjną gałąź działalności ekonomicznej — jest ciekawe, ale najciekawszym jest wyjaśnienie przyczyny tej łatwości współzawodnictwa, o które żydzi rzemieślnicy względem chrześcian są oskarżeni. Żyd-rzemieślnik pobija na rynku „katolika” — fuzerką tanią. Czyniąc to, jest w najzupełniejszej zgodzie z własnem, jak też i tych spożywców położeniem ekonomicznem, którzy stanowią jego rynek. Stojąc na niższym o połowę od rzemieślnika chrześcianina poziomie potrzeb życiowych i łożąc na odnowę swej siły roboczej niezmiernie mało, wynosić musi na rynek stosowny równoważnik. Towar jego, o tyle tańszy, o ile cebula jest tańszą od funta wieprzowiny lub wołowiny spożywanej przez jego rywala, a materiał wysortowany od przedniego — spotyka się z biedakiem-spożywcą, który go pochłania. To przymierze dwóch nędz jest bodaj najgłówniejszem źródłem partactwa. Ale nie zbywa i na innem, które tkwi w małym uzdolnieniu fachowem rzemieślnika-żyda. „Terminu — powiada obrońca szewców polskich — właściwie nie przechodzi, ale od razu ze swym majstrem układa się o zapłatę za pomoc i w rezultacie nie ma pojęcia o elementarnych nawet podstawach racjonalnego prowadzenia rzemiosła. Po przyjściu do lat pewnych, chciałby za cenę jakichś ofiar nabyć fachowych wiadomości, ale z wielu względów nie mogąc w żadnym z warsztatów pracować, uśposabia się na partaczę-wyzyskiwacza!”

Nie będę wysnuwał z tego wszystkiego wniosku, który, nie wiem, czemu zamarł na ustach „pocziwego naszego” ślusarza, co broni szewców. Bronił by on prawdopodobnie okrzykiem „precz z rzemiosłem semickim!” „Spytam tylko, kto, jeśliby się nie okazały inne przyczyny, jest prarodzącym fuzerki żydowskiej w rzemiosle: talizmany do otwierania serc spożywców oraz specjalnych komisji i instytucji poważnych, do których słabe niedołężne lecz uzdolnione jagnięta chrześciańskie straciły dostęp, czy też może owe „względy,” niepozwalające terminatorom-żydziakom urabiać się na fachowców w warsztatach chrześciańskich? Usuniecie, zaniechawszy drobno-mieszczan-skich zawiści, a jeśli te ostatnie są wyższe od was, to przynajmniej dla opanowania dalszych rynków, które wam partaczę wydierają, zespólcie się, jeśli jeszcze możecie to zrobić, pomimo małości swojego ducha przedsiębiorczego!”

Ruch wychodzący zamorski, który od kilku miesięcy potężnie ogarnia lud polski, splątał tego figla pewnym teorym społecznym niektórych naszych publicystów: doznały one dotkliwego ciosu z tej strony i albo się jeszcze chwieją w swych podstawach, albo, jak owoc w zaraniu przez robaka podtoczony, opadają z drzewa myśli narodowej. Najbardziej na tem ucierpiała teoria o nierozzerwalności związków naszego chłopca z ziemią, teoria, tak artystycznie ucielesniona w Ślimaku z *Placówki*. Emigracją brazylijską odznacza pewien rys, wobec którego wymarzona postać Ślimaka, nie wytrzymałszy ogniowej próby faktów, pierzchnąć musi i rozpląnąć się w nieości, jak mgła poranna przed słońcem. Rysem tym jest ta przykra okoliczność, że wirowi wychodzącemu dają się porywać nie tylko „gołyse” fabryczni i bezrolni (czeladź dworska), lecz także stateczni gospodarze, posiadacze zagonów. *Gazeta rolnicza* jest tak mocno zdziwiona tem niespodzianem zjawiskiem, że, zgłębiając je, mimochodem potknęła się o prawdę, za którą mocno jej jestem wdzięczny. „Jeśli ci, powiada, dla których świat najczęściej kończył się po za słupem granicznym powiatu, puszczają się

w kraje nieznane, za góry, za morza, jeśli ci, którzy do niedawna za żadną cenę nie ustępowali kawałka zagona (?), marnują dziś wszystką posiadaną ziemię, to zaprawdę, muszą być po temu inne, ważniejsze przyczyny, nad gorączkę złota, która, o ile nie miała związku z polem, łąką, pastwiskiem i lasem, była zawsze i jest jeszcze dla chłopca naszego nieczepiającą się go chorobą.” Nie, ani gorączka złota, ani podżeganie agentów, nie są sprawcami wychodźstwa. „Jak koń pełnego żłobu, tak chłop nasz zagrody ojezystej nie porzuci, gdy ona daje mu spokojny kawał chleba.” A więc cóż w takim razie? „Ogólny upadek większej własności, nieurodzaje dwóch lat ostatnich i parcelacya” — oto przyczyny złego, odkryte przez *Gazetę rolniczą*.

A możecie ciekawi, jak przynajmniej pierwsza (upadek wielkiej własności) i ostatnia (parcelacya) z tych przyczyn wyglądają zbliska? Macie. „Wegetujący „dwór” zaprowadza możliwe oszczędności: redukuje do minimum czeladź i używane w gospodarstwie siły robocze. Wszelkie melioracje odkładają się na czasy lepsze, robi się tylko rzeczy niezbędne, na jaknajmniejszą skalę, jaknajoszczędniej. Wywóz drzewa z lasów, dający przez tyle lat znakomite zarobki, ustal prawie. W majątkach rozparcelowanych gorzej jeszcze: tam możność zarabkowania nie już zmniejszyła się, ale ustała w zupełności. Miejsce dworu, dającego stałe utrzymanie służbie i stałe zarobki potrzebującej ich ludności wiejskiej, zajęli tam nowonabywcy, którzy ani służby nie trzymają, ani podziennych robotników nie potrzebują.” Autor, który te słowa mówi, miał sposobność na własne oczy oglądać zmiany, zaszłe w znanej sobie dobrze okolicy, po której przed niedawnym czasem przeszła parcelacya. Cztery obok siebie położone majątki rozbiła ona swoim klinem na kilkaset mizernych pól, na których powołała do życia kilkaset „ohydnych, bez ładu i składu skleconych bud” — autor wzdraga się je nazwać chałupami. Zamożne niegdyś wsie, popadły w nędzę; las otrzymany za służebności uległ sprzedaży; niezalutowane służebności są nieustanną kością niezgody między dawnymi osadnikami a przybyszami, którzy zajęli miejsce dworu. Dla autora, z którego czerpiemy, nie w tem dziwnego: dwór, sproszkowany przez parcelację, wydawał rocznie na robociznę około 4,000 rs., a wywózką drzewa z lasu pozwał zarabiać drugie tyle. Takich dworów ubył tam aż cztery. To, co tu powiedziane, nastrocza autorowi wychodźstwo z Galicyi i, będąc ekonomiczną ilustracją do słynnej sprawy wadowickiej, w warunkach galicyjskiego życia społecznego nabiera szczególnego znaczenia, traci zaś w znacznej mierze tę doniosłość dobrodziejstwa, które zdawałoby się na pozór wynikać z sąsiedztwa dworu z chatą.

Jakkolwiekby, nie ulega wątpliwości, iż między dobrobytem włościan a stanem gospodarstw folwarcznych zachodzi pewna łączność, że chyli się do upadku pierwszy, gdy upadają lub nawet wcale znikają — drugie. Ten związek przyczynowy wymagałby dokładniejszego zbadania, chociażby z góry już do pewnego stopnia można przypuścić, iż zależność ta najbardziej dotyczy małorolnej ludności, dla której szczupły zagon nie jest dostatecznem źródłem utrzymania i opłacenia podatków państwowych i gminnych. Włościanin, oddawna sąsiadujący z dworem, niechętnem okiem ściga parcelowników, przybywających z dalszych wsi. Korespondent *Gazety rolniczej* z nad Warty opowiada o postawie, jaką przyjęli chłopci na wieś, iż dziedzic sprzedaje „dwór.” Zgłosiło się zaraz kilkunastu z sąsiednich wiosek, ofiarując częściowe kupno majątku (przy pomocy banku). Nadeszli i swoi i oświadczają, że na parcelacyę nie ma zgody, bo mają prawo służebności. Gdy dziedzic obiecał im, że za pastwiska i prawo

do lasu dostaną grunty i kawał lasu, wysuwa się starszy z gromady i tak prawi:

— Proszę Wpana, o pastwisko i las to się pogodzimy, ale nie chcemy, żeby W-ny Pan sprzedawał dziedzictwo, chcemy, żeby dwór był dworem, bo jak panowie zaczęli wyprzedawać, to ludziom, to żydom, to i na chłopów bieda. Kaj szukać na świecie zarobku: tu trza płacić podatki, kupić buty, przyodziewek, drzewo — a skąd wziąć pieniądze, kiedy człowiek nie zarobi w lecie kosą, zimą cepami? Gdzie pójdzie, nikaj zarobku, i po fabrykach jakoś ta lichota idzie i po świecie wszędzie ludzie narzekają na biedę.

To samo o sobie mogą powiedzieć robotnicy (w liczbie 600) z fabryki Heinza w Łodzi, po spaleniu się jej 26 listopada b. r. Wszystkie maszyny przygotowawcze, towar i przedza znajdujące się w warsztatach — spłonęły. W spalonej fabryce przy 510 warsztatach pracowało 600 ludzi. Z tej liczby prawie połowa będzie pozbawioną zajęcia, bo wątpić wypada, czy obietnica p. Heinza, że ich zatrudni, może być przyjmowana za dobrą monetę. Te „czerwone koguciki” zsyłane tajemniczą ręką na fabryki łódzkie dość perypodycznie i właśnie w najkłopotliwszej chwili zastoju przemysłowego, są prawdziwym darem nieba. Z tego podarunku muszą korzystać ci, którym na sprowadzeniu do minimum skali produkcji wielce zależy. Z czystym sumieniem można zatrzasnąć drzwi kantoru fabrycznego, mając na swoje usprawiedliwienie potęgę strasznego żywiołu. Środki samopomocy wobec niewygody nadprodukcji z czasem doskonałą się, i dziś dzięki towarzystwom przeciwogniowym są celowszymi. W przeszłym stuleciu pierwotnym sposobem nadmiar usuwano wprost za pomocą ognia lub rzucano w wodę. Dziś „niewiadome przyczyny” zsyłają „czerwonego koguta”, który połyka, czego rynek nie przełknął... P. Heinzlowi, mówiąc to, nie mam wcale zamiaru niegrzeczności robić.

Z. Atanazy.

UNIKAT LITERACKI.

IV.

Niejednokrotnie powiedziano Matejce, że ma krótki wzrok i że skutkiem tego postacie na jego płótnach zbyt się tłoczą — w uwadze tej jednak, nieraz bardzo ostro wyrażonej, nie dostrzegł on nigdy „pomył”; powiedziano Meissonierowi, że jest mistrzem obrazków drobnych; w odpowiedzi na to nie oskarżył żadnego krytyka, że mu chce „odradzić” malowanie większych obrazów, że go „dyskredytuje u publiczności” i zniechęca nabywców. Inaczej zachował się wobec podobnych zdań autor „tego fasonu,” co p. Głowacki: on je uważa za obrazę, zniewagę, za „deptanie i lżenie,” za psucie mu interesów na rynku wydawniczym. Bo jeżeli zaznaczyłem, że on „dusi się rozrzedzonym powietrzem abstrakcyi,” to nie znaczy, że jego wyobraźnia niema tak górnego lotu, jak np. fantazyja Krasńskiego, Goethego lub Shelleya, ale że jest „chorym na umysł,” „waryatem”; jeżeli przyznałem mu mistrzostwo w utworach drobnych, to nie znaczy, że taka jest natura jego talentu, ale że „odradzam mu pisanie większych powieści” i ograniczam jego możność zarabkowania; jeżeli mówię, że tworzył *Lalkę* równolegle z drukiem, kawałkami, to nie znaczy, że tak chciał lub musiał, ale że go „dyskredytuje u wydawców.” Matką tych wniosków jest „logika,” którą p. Gł. tak gorliwie od chłopięcych lat uprawiał, a piastunką — mania prześladowcza, która mu może mniemane zamachy odpiąć każe. Bo gdy Chmielowski w *Ateneum* powiedział, że czytelnicy *Kuryera*, zniecierpliwieni długimi przerwami w druku „*Lalki*,” pisanej

częściowo, „szturmowali do redakcyi,” że powieść ta „w kompozycji jest chyba najslabsza,” że główny bohater jest dziwną mieszaniną pierwiastków sprzecznych, że wyjątki z pamiętnika Rzeckiego wstawiane są luźnie, że „w „Lalce,” tak jak w wielu fejtletonach jego raz zbył częste odwoływanie się w porównaniach i określeniach do stosunków płciowych” — autor nie obnażył swoich „ran” przed narodem, a nawet nie zdradził tajemnicy swego 80 arkusowego rękopisu o twórczości literackiej, który zabrania powątpiewać o doskonałości jego planów powieściowych. Dopiero moje, daleko łagodniejsze uwagi wproważyły go w taką furję, że dla dogodzenia jej nie poprzestał na ordynarnych wykrzykach, lecz musiał aż wpaść na zagon mojej pracy literackiej i zdeptać go od brzegu do brzegu. Bo jeżeli przerywał druk swej powieści na kilka miesięcy, jeżeli „czytelnicy szturmowali do redakcyi,” a ona uspakajała ich w odpowiedziach i zapewniała, że również sturmuje do autora; jeżeli w osnowie dostrzegłem sprzeczność lub wątki sztucznie dowiązane, nie powinienem być zdradzić ani przed „wydawcami,” którzy rękopis odbierali częściowo i nieraz w znacznych odstępach czasu, ani przed publicznością, która na to wszystko patrzyła, że p. Gł. swoją *Lalkę* „jednocześnie tworzył i drukował.” Nie powinienem być, zwłaszcza że w dowodach popełniłem ni mniej ni więcej tylko „rozmyślny fałsz.” Bo zaznaczyłem, że Prus raz przedstawia Wokulskiego jako co święto maszerującego z żoną do kościoła, a gdy *później* potrzebował uczynić swego bohatera twardszym, kazał mu być tylko dwa razy w kościele. Za to *później* p. Gł. zdarłszy z mojej głowy skalp i potrąsając nim dumnie, woła: „rozmyślny fałsz. O tem, że Wokulski często chodził do kościoła z żoną, mówi Rzecki w II tomie!” A zatem nie wcześniej. Aż mi przykro, że muszę zmniejszyć tak wspaniały tryumf „tego pana” objaśnieniem, czytelnika, iż autor w I-m tomie mówi o *późniejszym* okresie życia bohatera, a w II-m — o wcześniejszym, że zatem owo *później* odnosi się nie do tomów, ale do tych okresów. P. Gł. bardzo dobrze to rozumiał, ale mógł ryzykować, że czytelnicy jego wymyślą nie dostrzegą, w czym właściwie kubelku są „pomyje.” Na wypadek zaś gdyby pomyśleli, że czy Wokulski tak mówił wcześniej, a tak później, mówił sprzecznie, autor uprzedza ich: „był wzburzony, rozmarzony” — zapomnieli.

Na wszystko znajduje się sposób — trzeba tylko mieć odwagę go użyć. P. Gł. zaś nie jest bynajmniej wybrednym, w braku lepszego środka bierze — cudzysłów. Już poprzednio zaznaczyłem jego ciekawą metodę posługiwania się tym znakiem pisarskim, który mu służy nie, jak zwykłym śmiertelnikom, dla *cudzych słów*, ale dla jego własnych, które chce przeciwnikowi podsunąć. Oto pisze: „Jakkolwiek byłbym „nieobyčajnym,” to przecież oskarżycielem moim nie powinien być p. S., który jako krytyk na 404 str. *gromi* mnie za to „o czem kobiety lubią słuchać ze spuszczeniem oczami,” a jako Poseł Prawdy na str. 405 *rozprawia* z Dumasem o następującej subtelnej kwestyi: „Czy kobieta może lub nie może być zgwałconą, jeżeli nie zechce.” Nie będąc kompetentnym, *kto ma rację*: Dumas, czy Poseł Prawdy itd.” Wynika stąd, że: 1) panna Gł. „gromię” i nazywam go „nieobyčajnym”; 2) „rozprawiam” z Dumasem o kwestyi gwałcenia, w której wyrażam swoje własne zdanie. Wszakże tak? Otóż 1) nigdzie p. Gł. nie nazwał „nieobyčajnym” i na owej 404 str. nietylko go nie „gromię,” ale usprawiedliwiam. Przynażęszy bowiem — co przyzna każdy — że niejedna matka znalazłaby się wobec córki w kłopotcie przy czytaniu jego swawolnych żartów, dodaje: „Te tłuste *Jovialitates* lub *Fraszki* Prusa są po części odbiciem realistycznej natury jego talentu, ale także wynikiem ciasnoty obrębu, w którym mógł się obracać

jego humor. Zakres ten, z innych powodów mały, był nadto jeszcze ograniczony stanowiskiem pisma brukowego i poczytnego.” W dalszem rozwinięciu tej myśli niema ani słowa nagany, ale raczej obrona. 2) Na str. 405 *Prawdy* nie tylko nie ma zdania, które p. Gł. podał w cudzysłowie jako temat sporu, ale nawet wcale tam nie „rozprawiam” z Dumasem w tej „kwestyi,” nie wyrażam o niej żadnego własnego sądu, przytaczam tylko jego przedmowę do książki Riveta, objawiając znany czytelnikom może od lat wielu wstręt do tego rodzaju dysput. Więc jakże nazwać tę metodę polemiczną p. Gł.? Zaglądam do jego słowniczka „przyzwoitości” i znajduję jedynie: „rozmyślny fałsz.” Ale na co ta manipulacja z cudzysłowami była autorowi potrzebna, kiedy przy niej powiada: „Istotnie wspominam o rozmaitych punktach kwestyi kobiecej, naprzód dlatego, że *sam je lubię*, a powtórę, że jest to *najłatwiejsza przynęta* na czytelników obojej płci?” Tego objaśnić nie umiem, tylko wyobrażam sobie ile to „kubłów” znalazłby on pod ręką, gdybym zauważył, że on to „lubi” i że tego środka używa jako „najłatwiejszej przynęty.”

Po obejrzeniu „rozmyślnego fałszu,” zobaczmy teraz, jak wygląda „arcydzieło oszczerstwa czy lekkomyślności.” W moim artykule o p. Głowackim znajduje się taki ustęp: „Z tych różnorodnych zabarwień wytworzyła się w umyśle Prusa i trwa dotąd pewna pstrokaczna, pewien eklektyzm, pewna mieszanina znamion sprzecznych, którą on sam czasem dostrzega, a raz wybornie określił.

— Proszę pana — zapytała go znajoma — do jakiej pan należy partyi?

— Jako człowiek do żadnej, a jako dziennikarz do...
— Do postępowej?
— To jest... niezupełnie.
— Więc do konserwatywnej?
— Właściwie... cokolwiek.
— Może do klerykalnej?
— O! to bardzo mało, prawie nie.
— Więc do wolnościowej?
— Tak... troszeczkę... odrobinkę...
— Ależ ostatecznie do jakiej? — wykrzyknęła moja towarzysząca, szeroko otwierając oczy, piękne jak dwa jeziora Czterech Kantonów.
— Widzi pani, *my*, dziennikarze, należymy właściwie do partyi konserwatywno-postępowo-klerykalno-wolnościowo-arystokratyczno-demokratycznej.”

Przytoczywszy to, p. Gł. w swojej odpowiedzi daje takie:

„Małe objaśnienie: 1) *Z nikim* bez względu na jego płeć i kolor oczu nie lubię rozmawiać ani o „moich dziełach,” ani o „moich przekonaniach” (co wyrażają te cudzysłowy, nie wiem). 2) Termin: członek partyi konserwatywno-postępowo-klerykalno-atheistycznie — itd. ja sam wynalazłem i po wiele razy używałem go w „Kronikach tygodniowych” na oznaczenie ludzi, *którzy nie wiedzą, czego chcą*. 3) *Jeżeli* więc rozmawiałem w ten sposób, *jak mówi p. S.*, z damą z „oczyma jak dwa jeziora,” to oczywiście dopuściłem się żartu, za co ja obecnie przepraszam. Pominąwszy jednak te drobiazgi, p. S. nie potrzebował *uciekać się aż do interwencji dam* w celu dowiedzenia się o moich przekonaniach” itd.

A zatem: 1) p. Gł. nie rozmawiał z nikim w ten sposób lub co najwyżej żartował; 2) ową złożoną nazwę stosował w „Kronikach” tylko do „ludzi, którzy nie wiedzą, czego chcą”; 3) ja zaś „dla dowiedzenia się o jego przekonaniach uciekłem się aż do interwencji dam” i wynalazłem jedną, która według mnie ma „oczy jak dwa jeziora” i która dostarczyła mi materiału do „arcydzieła oszczerstwa czy lekkomyślności.”

A teraz wobec tych obelżywych twierdzeń powiedzcie, jak mam ochrzcić napasę p. Głowackiego, jeżeli *cały powyższy, petitem wydrukowany ustęp, jest dostownie przepisany wyjątkiem z niedawnej stosunkowo jego Kroniki*, w której on sam podaje rozmowę z damą i sam sobie przyczepia pstrokaty tytuł? Jestże to „arcydzieło oszczerstwa czy lekkomyślności”? Mnie się zdaje, że nawet słowniczek wyrazów „przyzwoi-

tych” p. G. dla określenia tej sztuczki polemicznej jest niewystarczający. Nie będę go dopełniał, zauważę tylko, że albo p. G. pamiętał, co napisał i wtedy zarzut jego jest najwyższym stopniem ujemnej śmiałości, albo nie pamiętał, a w takim razie dowiodł, że z tą samą bezmyślnością wyrabia swoje kroniki, z jaką rzuca orkarzenia.

Prawda nie należy wyłącznie do mnie, lecz także do swych abonentów. Nie mogę przeto zbyt wiele zabierać w niej miejsca na prostowanie fałszów i odpieranie napasę p. Głowackiego. Dotknąłem tylko punktów najważniejszych. Pomijam cały szereg innych, drobniejszych, cały legion śmiesznych przekorności i dziecinnych skarg — jakoby „*kwalifikował*” p. Gł. do wymiatańa rynsztoków i czyszczenia podwórek, „kiedy twierdziłem, iż on to czynił, bo „pismo brukowe *musiało nagiąć* swego fejtletonistę do zajmowania się sprawami najdrobniejszej wagi,” jakoby go mianował „odstępca,” kiedy dowodziłem, iż oprócz króciutkiego okresu we wczesnej młodości był albo konserwatystą, albo eklektykiem; jakoby „przypierał wobec niego ton nauzczyela przemawiającego do żaka,” „kiedy ustawicznie wskazywałem w jego utworach znamiona mistrzostwa i genialności—itd. Przytoczone dowody wystarczą na to, że: 1) krytyka moja nie była „steakiem fałszów, insynuacyi i obelg,” „poniżaniem,” „zniesławianiem,” „deptaniem,” „piętnowaniem,” lecz wyrazem wielkiego uznania i sympaty, szczerym sądem, pozbawionym nawet ukrytego zamiaru napominającej lub karzącej nagany, oraz 2) że odpowiedź p. Gł. jest brutalną napasą i bezzasadnym odwetem, w którym przewijają się nici bądź manii wielkości i przesadowczej, bądź zwyyczajnej nieprawdy. Bez tych dwu manij zagadka psychologiczna, tkwiąca w nasiąkłym złością artykule p. Gł., rozwiązać się nie da. W każdym razie artykuł ten stanowi unikat w dziejach piśmiennictwa. Żaden autor dotychczas nie przemawiał o sobie tonem takiej wyniosłości, żaden do tego stopnia nie uważał siebie za sprawiedliwego sędziego swych utworów, żaden nie odbryzgał taką pianą krytykowi, który w nim uznał mistrza i luminarza literatury. Gdybyście stanęli przed jakimś domem i zaczęli wysławiać jego piękność, wskazawszy kilka zaledwie stron słabszych, i gdyby z tego domu wypadł z hałasem jego budowniczy, obrzucił was obelgami, wypomnił wam najrozmaitsze winy i zagroził procesem, doznalibyście takiego wrażenia, jakiego ja doświadczyłem po mojej krytyce, przeczytawszy odpowiedź p. Głowackiego. Więcej powiem, „ten pan” spadł na mnie z bezmyślnością dachówki, która zlatując nie wie, kogo i za co rani. Gdyby ktoś z litanii do wszystkich świętych wyczytał spis osadzonych przestępców, nie dokonałby większego dziwu, niż on, wydobywszy z mojej rozprawki „insynuacye i obelgi.” Jeżeli to są obelgi, to niema przyzwoitego języka w sprawozdaniach literackich; jeżeli moje uwagi były „zniesławieniem i poniżaniem,” to nie ma krytyki. Posiadam jednak pewną podstawę do twierdzenia, że autorowie co najmniej równi, a może wyżsi od p. Gł., czuliby dla mnie wdzięczność, wyraźnie: *wdzięczność* za takie o nich studium. Cromwell powiedział raz do malarza: „Wymaluj mnie, jakim jestem, a nie usuń zmarszczek, bo nie zapłacę ani grosza.” Tak mówią ludzie wielcy. Tymczasem p. Gł., który był melodramatycznym, gdy chodzi o niego, a szykanującym, gdy chodzi o przeciwnika, nie naśladuje Cromwella, ale raczej parafianina, który wymyśla fotografowi za to, że nie odtworzył blasku jego tombakowej spinki. Tą przez właściciela wysoko cenioną, a przez znawców ośmieszoną spinką jest jego o tyle mała, o ile pretensjonalna socjologiczno-statystyczno-ekonomiczna wiedza. Wolno p. Gł. uważać ją za główny klejnot swego umysłu, ale niechże pozwoli innym nie podzielać jego złudzeń

zwłaszcza że tych innych jest za wielu, ażeby ich można było objąć zarzutem „potwarców.“

Pisząc powyższą replikę, przy każdym jej słowie czułem, a wraz ze mną niewątpliwie i wy czytelnicy, jakim ten nasz swiatek literacki jest mizernym zaścianiem, kiedy w nim rodzą się tego rodzaju pretensje i tego rodzaju spory. Ale cóż począć, żyjąc w takiej atmosferze umysłowej?

Kończąc tę wstrętą rozprawę, o ile ona dotyczyła moich uwag o p. Gł. i jego napaści. Ale p. Gł. uznał, że daleko lepiej wyjaśnić się jego stanowisko w literaturze, jeżeli znieśliśmy moją działalność i mój charakter. Krótki rachunek tego tytułu zrobię z nim osobno inną kredką: obliczę tam mój „egoizm“ i jego altruizm oraz jak mnie „płacono za robienie postępu“, a jemu za „zamaskowaną agenturę młodej prasy“ i jawne „programy.“ Będzie to ciekawy przyczynek do historii naszego rozwoju umysłowego.

A. Ś.

PRASA RUSKA.

Zabójstwo generała Seliwerstowa.

Głośne morderstwo, które tak mocno wstrząsnęło Paryż i drogą telegraficzną obwieszczone zostało całemu światu, szczegółowo opisuje *Warszawski Dniownik*. Ofiarą zabójstwa jest dymisjonowany generał-lejtenant Seliwerstow, właściciel olbrzymich dóbr ziemskich w guberniach: tulskiej, tambowskiej, saratowskiej i symbirskiej, oraz posiadacz fabryki sukna w powiecie korsuńskim i licznych zakładów przemysłowych. W r. 1878, przebiegłszy długi szereg rang wojskowych, mianowany był towarzyszem szefa żandarmów i głównego naczelnika byłego III-go wydziału własnej kancelarii Cesarskiej. W tymże roku, po śmierci generała Mezenecowa, zajął jego stanowisko i odznaczony za wzorową służbę orderem św. Włodzimierza 2-go stopnia, wziął dymisję. Mordercą jest Stanisław Padlewski, w wieku lat 35. Oto jego rysopis fizyczno-moralny według *Dniownika*: „Brunet, średniego wzrostu, nosi tylko wąsy. Jego owalna twarz jest bardzo blada, policzki zapadłe, wejście posępne, oczy nieco błakające się. Zdaje się mieć naturę bardzo podejrzliwą.“ Przyjechał do Francji przed dwoma laty, a bieżącego roku odbył tajemną wycieczkę do Galicji i Chorwacji, skąd wrócił do Paryża dopiero we wrześniu. Padlewski ma być rodem z Królestwa (według innych źródeł, z Kijowa), ale od dzieciństwa przemieszczał w Austrii i kształcił się we Lwowie; jest podobno synem oficera artylerii (Zygmunta Padlewskiego), który brał udział w powstaniu 1863 r. i był uśmiercony w Płocku. Przed dokonaniem zamachu na osobie generała Seliwerstowa, Padlewski przyjął był służbę posłańca w zakładzie „Salon franco-russe“, utrzymywanym przez rosyjanina, nazwiskiem Bernow. Pobierał u niego 2 franki dziennie, a w czwartki po 5 fr. Pierwsze wrażenie, jakie zrobił na Bernowie, było nieprzyjemne. Był to istotny oberwaniec, buty miał tak zdarte, że ledwie w nich mógł chodzić. Ponieważ jednak nic nie przemawiało za tem, żeby miał być socjalistą, przeto Bernow przyjął go na służbę. Spełniał ją jednak niepunktualnie: przepadał gdzieś po całych dniach.

Znajomość Bernowa z gen. Seliwestrowem datowała się od dnia 18 maja r. b. Stosunek swój do zabitego Bernow scharakteryzował przed reporterem *Intrasigeant* w następujących słowach: „Generał bardzo mnie polubił, stał się moim wiernym opiekunem, udzielił mi swego adresu, z którym się tań przed wszystkimi. Potem wrócił do Rosji. Teraz przyjechał 30 października, tegoż dnia stawilem się u niego. Byłem jedyną osobą, którą generał przyjmował u siebie...“

Generał Seliwerstow przybył do Paryża na jedenaście dni przed śmiercią i zatrzymał się w Hôtel de Bade nr. 88, na drugim piętrze,

w głębi podwórza. Apartament jego składał się z 5 pokoiów. Gości zwykle wprowadzał jego wierny kamerdyner, Kof, finlandczyk, będący u niego w służbie od lat dziesięciu. Generał był bardzo ostrożny i zalecił słudze zamykać drzwi zawsze na klucz. Stosując się ściśle do wskazówek pana, Kof otwierał drzwi tylko, gdy dzwoniło, uchylał je ostrożnie i wpuszczał osoby tylko sobie znane.

Tak się rzeczy miały przed dokonaniem zamachu. Wobec tego przebieg samego morderstwa wydaje się nadzwyczaj dziwnym. W dzień śmierci gen. Seliwerstow wstał o 8-ej z rana. Po spacerze i śniadaniu, o godz. 11½, kamerdyner zameldował, iż, jakiś nieznajomy żąda z generałem się widzieć, żeby mu do rąk własnych oddać list od Bernowa. Podejrzewając, czy nieznajomy sam sobie nie napisał tego listu (lub może jest zwykłym posłańcem, generał kazał lokajowi wrócić do przedpokoju i dowiedzieć się. Ponieważ nieznajomy wydał się służącemu podejrzany, zażądał od niego listu i sam go doręczył generałowi. W liście Bernow zapraszał generała na wieczór do „Salon franco-russe.“ Gdy kamerdyner wchodził z listem, generał znajdował się w sypialni. Dostrzegłszy znany sobie podpis, generał kazał wprowadzić nieznajomego, który się przedstawił jako Stanisław Padlewski. Wykonawszy polecenie, kamerdyner oddalił się i nie widział, kiedy wyszedł Padlewski. Sądząc, że jeszcze się nie oddalił i zdziwiony ciszą panującą w pokojach, lokaj w 25 minut potem odważył się wejść. Generał siedział na krześle u stołu, z piórem w ręku i wzrokiem utkwionym w liście. Z lewego policzka sączyła się krew, generał żył jeszcze, lecz ciężko oddychał i był zupełnie nieprzytomny. W pokoju nie było żadnego śladu walki, ani oręża — wystrzału nikt nie słyszał.

Padlewski zemknął, ale nie wiadomo, gdzie się obraca, zapewne znalazł ucieczkę w Anglii. W pierwszej chwili policja paryska przypuszczała, iż mógł się ukryć u swoich towarzyszy, dokonała w nocy rewizji w mieszkaniach znanych socjalistów. Przetrząsnęto wszystkie czeluście Avenue des Gobelins et de la Glacier, gniazdo rewolucjonistów ruskich, ale bez skutku. Aresztowi ulegli Mendelsohn z żoną. Z faktu, że w kieszeni gen. Seliwestrowa znaleziono 1,300 fr., a w biurku 40,000 gotówką, władze policyjne sądowe wnioskuje, że morderca dopuścił się krwawego czynu nie dla rabunku.

KRONIKA.

Dla młodzieży.

Dzieci najczęściej zajmuje to, co same wykonać potrafią. Proste doświadczenia fizyczne, wyrabiające w nich zręczność, uwagę i budzące ciekawość, są doskonałym materiałem zajęć domowych dla młodzieży. Drut, sznurek, rurka szklana, karafka, łupiny orzechów odgrywają rolę przyrządów naukowych, wprowadzają młodego eksperymentatora w zetknięcie z życiem przyrody, każą mu dochodzić związków i przyczyn zjawisk. Takie zadanie spełnia świeżo wydana *Fizyka bez przyrządów* (z ilustracjami) S. Kramsztyka. Wszystkie doświadczenia — a jest ich 30 — są bardzo zajmujące. Wymienimy niektóre: spadek ciała, koło odśrodkowe, motor hydrauliczny z łupin orzechowych, ciemnia optyczna bez szkła, karafka wody jako soczewka wypukła itd. Objasnienia zjawisk są bardzo przystępne. Oby ta książeczka mogła rozpowszechnić się, budząc wśród naszej młodzieży zamiłowanie do pięknej nauki fizyki.

Sprawy społeczne. Ogłoszono regulamin nowo zatwierdzonego Towarzystwa pomocy osobom przesiedlającym się w obręb Cesarstwa. Instytucja posiada prawo zarządzania przytułków i niesienia pomocy lekarskiej, budowy świątyń i zakładania szkółek w miejscach osiedlenia, w ogóle — niesienia pomocy rzeczowej i pieniężnej. Towarzystwo składa się z dwunastu członków-założycieli i nieokreślonej liczby czynnych, wybieranych przez walne zgromadzenie i wnoszących rocznie rs. 10 wpłowego.

— Z dn. 4 b. m. na Pradze rozpoczęto wydawanie bezpłatnych obiadów dla biednych.

— Z Zakopanego donoszą, iż spór o Morskie Oko ukończono. Sady węgierskie w pierwszej instancji przysądziły sporne teorytorium księciu Hohenlohe; obecnie sąd wyższy węgierski ten wyrok zniósł, a tem samem prawa własności polskich posiadaczy zostały uznane.

— Teatr Łódzki urządził przedstawienia dla ludności robotniczej, na które bilety znacznie są niższe.

— Przy kontroli służbowej w Warszawie powstaje oddział pośredniczenia w najmie służby, opatrzonej dobremi świadectwami.

— W Odesie otwarto pierwszą w Cesarstwie bezpłatną czytelną dla ludu.

— Główny zarząd niemieckiego Tow. wstrzemięliwości wniósł do rady związkowej prośbę o energiczne zwalczanie pijaństwa.

— Sąd skazał kilku rzyckich doktorów na grzywny po 16 rs. lub 4-tygodniowy areszt za przybicie na drzwiach ich mieszkających tablic wyłączenie w języku niemieckim.

— W Rydze odbyły się narady celem urządzenia w tamtejszych prowincjach osad rolnych dla małoletnich przestępców.

— W Hanowerze założono nowe Towarzystwo polskie przeważnie z robotników fabrycznych.

— Dwa najdawniejsze i najpoważniejsze w Paryżu związki polskie: „Towarzystwo historyczno-literackie“ i instytucja wzajemnej pomocy p. n. „Czci i chleba.“ przestają istnieć jako ciała odrębne, zawieszają czynność i fundusze wraz z pozostałymi do wykonania zobowiązaniami przekazują zakładom krajowym, głównie Akademii umiejętności w Krakowie.

— Z Poznania piszą do *Nowosti* o poważnym zajściu na dworcu kolejowym między publicznością i policją. Krewni i znajomi nowozaciężnych żołnierzy, znajdujących się w pocłagu, chcieli podejść do wagonów, ażeby się pożegnać. Policja jąła rozpędzać publiczność, która jednomyślnie stawiała opór. Władza użyła broni. Wiele osób raniono i aresztowano.

— W ostatnich czasach rolnicy z Rosji południowej sprowadzali z zagranicy robotników (z Galicji, Persji i Turcji) do robót polnych. Ministerium spraw wewnętrznych, przyszedłszy do przekonania, że w kraju nie daje się odczuwać brak rąk roboczych, ale raczej ich zbytek, postanowiło zabronić sprowadzania z zagranicy sily robotczej w całym państwie, z wyjątkiem tylko Zakaukazu, gdzie do robót polnych można będzie sprowadzać persów za oddzielnem w każdym razie pozwoleniem władzy naczelnej.

Szkoły. Kurator okręgu naukowego w Odesie wydał do nauczycieli gimnazjów i szkół realnych okólnik, w którym podniósł nieracjonalność pedagogiczną metod szablonowych przy powtarzaniu przedmiotów kursu gimnazjalnego i przy egzaminach. Panujący w szkołach pogląd na nauczanie jako na przygotowanie do popisów egzaminowych, zdaniem kuratora, powinien być wykorzystany. „Nauczyciele powinni się starać o wyjaśnienia zasadnicze, o pogłębienie wiadomości, słowem powinni być pedagogami, nie zaś machinami do wysłuchiwania i egzaminowania.“

— Ministerium oświaty opracowało projekt przekształcenia szkół w niemieckich koloniach na południu Rosji. Podstawą reorganizacji będzie wprowadzenie języka ruskiego jako wykładowego i zwiększenie ilości godzin poświęconych nauce tego języka, w klasie niższej do 10-ciu, w wyższej do 20-tu godz. tygodniowo.

— W Kostromie i Makarewie otwarte będą w r. p. szkoły techniczne.

— Rząd pruski oświadczył, iż nie będzie uznawał dyplomów uniwersytetu katolickiego w Fryburgu.

— Kilku dyrektorów gimnazjów zwróciło się do ministerium oświaty z przedstawieniem konieczności dodania w kl. 8-jej przynajmniej 1-iej godziny na wykład matematyki. Podług bowiem nowych programów powiększono zakres kursu przez dodanie kilku ważnych twierdzeń arytmetycznych i algebraicznych, a jednocześnie zmniejszono liczbę godzin.

Zdrowie publiczne. Przy tegorocznej superrewizji w Kijowie z 130 poplowskich okazało się zdolnych do służby tylko 37. Większa część wybrakowanych rekrutów otrzymała zwłokę z powodu słabego rozwinięcia płaski piersiowej. W ogóle zauważono znaczny upadek rozwoju fizycznego wśród klas mieszczańskich, muskulatura słaba, niedokrwistość itd.

— Wiedeń zakłada Muzeum higieny przemysłu, mające na celu szerzenie zdrowotności wśród robotników z pomocą reformy urządzeń fabrycznych.

— Nowoustanowiona dla Królestwa Polskiego opłata w sumie 250,000 rs. rocznie na rzecz utrzymania szpitala

ów dla obłąkanych, obowiązywać będzie od 1 stycznia 1891 r. Obecnie, przy odpowiednim podziale wysokości opłat na gubernie, wydano rozporządzenie, dotyczące przyjmowania i zbierania nowej opłaty.

Przemysł i handel. W celu poparcia przemysłu drobnego ministerium marynarki zgodziło się na zamówienie 500 pudów gwoździ kutych dla okrętów; zaś specjalna komisja zażądała od ziemstw wiadomości, pod jakimi warunkami ziemstwa mogą przyjmować zamówienia dla rękodzielników bez pośrednictwa agentów.

— Polów łososi i dorszów na wybrzeżach pruskich jest tak obfity, jak dawno nie pamiętają najstarsi ludzie.

— Kapitaliści francuscy starają się o założenie w Cesarstwie fabryki prochu bezdymnego.

— Fabrykanci stali wnieśli petycję do ministra skarbu o znaczne podwyższenie celi ochronnych od wyrobów stalowych.

— Minister skarbu w razie nowych zarządzeń celnych ze strony Niemiec przeciwko zbożu ruskemu zamierza otworzyć dla niego drogę odpływu do państw południowo-europejskich przez zawarcie traktatów specjalnych.

— W Petersburgu powstaje wielka udziałowa fabryka t. zw. „nowego złota.“

Sprawy kolejowe. Budowa pierwszych 700 wiorst kolei syberyjskiej rozpocznie się z wiosną r. p. Kierować robotami będzie zarząd czasowy kolei państwowych, którego prezesem jest generał inżynier Petrow, wice-prezesami Gorbunow i Peczkowski.

— Ministerium komunikacji postanowiło zaprowadzić coroczne systematyczne rewizje inspektorskie wszystkich kolei.

— Pod przewodnictwem r. t. Jewrenłowa utworzono specjalną komisję, mającą rozstrząsać kwalifikacje urzędników kolejowych w Królestwie i prowincjach zachodnich.

— Opalanie parowozów drzewem będzie wzbronione, natomiast ma być używany węgiel kamienny, nafta itd.

Zjazdy. W Petersburgu zapowiedziano pierwszy zjazd przedstawicieli i właścicieli przedsiębiorstw tramwajowych, w celu obmyślenia środków ochrony publiczności od nieszczęśliwych wypadków z powodu tramwajów. Warto ażeby przy tej sposobności pomyślano o polepszeniu bytu pracowników tramwajowych.

— Zjazd przedstawicieli Towarzystw ubezpieczeń rozpocznie się w końcu b. m. w Petersburgu.

— Zjazd przedstawicieli kolejowych rozpocznie obrady 27 b. m.

Wystawy. Komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie od 1 b. m. przyjmuje deklaracje na przyjęcie udziału. Na wystawie tej po raz pierwszy będzie dopuszczony do konkursu przemysł rolny.

— Na rok przyszły zapowiedziano w Petersburgu wystawę chmielarską.

— Berlin pierwszy raz urządza w r. p. międzynarodową wystawę sztuk pięknych.

— Niemcy w r. p. urządzają w Londynie narodową wystawę niemiecką. Wezmą w niej udział także niemieckie prowincje państwa austriackiego.

Rolnictwo. Z powodu konwencji Towarzystw ubezpieczeniowych, ustanawiającej znaczną podwyżkę premij ubezpieczeń od maszyn i narzędzi rolniczych, Towarzystwa gospodarze w kraju południowym wystąpili do władz z prośbą o zastosowanie energicznych środków przeciw tej znowle, szkodliwej dla rolników.

— W celu utworzenia ministerium rolnictwa postanowiono oddzielić departament rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego od ministerium dóbr państwa, tudzież przyłączyć do nowego ministerium instytucję kierującą rolniczymi sprawami gospodarstwa i przemysłu wiejskiego, wreszcie z ministerium skarbu przenieść do nowego sprawy wywozu zboża za granicę. Nowe ministerium składać się będzie najwyżej z pięciu departamentów.

Konkursy. Rada zarządzająca kolei Wiedeńskiej ogłasza konkurs na budowę nowego dworca w Warszawie. Nagrody: 100, 200 i 3,000 rs. Projekty powinny być nadsyłane na ręce sekretarza głównego rady zarządzającej, najpóźniej do 20 maja r. 1891 do 12-ej w południe. Wyrok sądu wydany będzie najpóźniej 20 lipca r. 1891.

— Poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk ogłasza rezultat dwóch konkursów z zapisu Bredkiewicza: Dr. Mikołaj Bobowski z Gołuchowa otrzymał 900 marek za rozprawę: „Pieśń kościelna, używana po kościołach katolickich od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku.“ Prof. Adam Bełcikowski z Krakowa otrzymał tyleż za rozprawę: „Żywoć i pisma St. Grochowskiego.“

Sprawy literackie. Wydawnictwo petersburskiego tygodnika *Zapadno-Slawianskij Wiestnik*, który zajmo-

wał się specjalnie sprawami Królestwa Polskiego, zostało czasowo zawieszone z powodu braku poparcia.

— Pamiętnik Walter-Scotta ukazał się w druku. Zawiera on mnóstwo nieznanych dotąd szczegółów z życia tego pisarza i jego współczesnych.

Badania naukowe. Podróżnik Brown bada obecnie pod względem przyrodniczym i handlowym nieznaną południową część Australii: Musgrave Ranges.

— Francuz Chalet przedsięwziął wyprawę w głąb Afryki, celem zbadania biegu rzeki Sanga, dopływu Kongo.

— Uczony etnograf Istomlin znalazł w kraju Pleczorskim „gramoty“ Iwana Groźnego, tudzież zebrał tam kolekcję starożytnych monet, upiększeń i posążków bóstw samojedów.

— Dr. G. Bukowski, poparty materyalnie przez wiedeńską Akademię umiejętności, prowadził studia geologiczne w Azji Mniejszej.

Zdemaskowanie. Jan Karłowicz zamieścił w piśmie francuskim *Melusine* rozbiór prac niejakiego M. Veckesteda (autora *Die Mythen Sagen und Legenden der Zamaiten*). Przyzwyczajeni do gruntowności badaczów niemieckich po przeczytaniu krytyki Karłowicza doznajemy zdumienia, skąd się wziął taki pretensjonalny fałszerz i nieuk i skąd mu przyszła myśl uszczęśliwienia swojemi bredniami mitologii litewskiej.

Bibliografia. L. Kondratowicz, *Wybór poezyj*, wydanie na rzecz wdowy i sierot autora, tom IV i V.

— E. Orzeszkowa, *Jędrza*, powieść str. 208, Gebethner i Wolff.

— H. Odyniec, *Święto umarłych* (Wyjatek z niewydanej całości „Warszawa w pieśni“) str. 13, Warszawa.

Zmarli. Michał Stoltz, w Insbruku, rzeźbiarz tyrolski.

— August Scheler, profesor wszechnicy brukselskiej, znakomity bibliograf belgijski.

— John Leurs Brown, w Paryżu, malarz.

OFIARY.

Dla biednych S. A. rs. 20.

O G Ł O S Z E N I A.

Na Gwiazdkę.

Światelko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez gro- no autorów polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. — Str. 274, rs. 1 kop. 80.

Prus Bolesław, *Szkice i Obrazki*, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Chmielowski Piotr dr., *Autorki polskie wieku XIX*, studium literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

zawiaadania, ze staraniem jej wyjdzie wkrótce:

Śpiewnik dla dzieci

słowa Maryi Konopnickiej, muzyka Zygm. Noskowskiego.

HENRYKA HEINEGO

Wybór pism

tom II-gi:

(Podróż po Harzu — Włochy) w przekładzie Maryana Gawalewicz, Cezarego Jellenty i Maryi Konopnickiej.

SZKICE

Adama Szymańskiego

tom pierwszy. Wydanie drugie wyszło z druku. Cena rs. 1. Nabywający książkę u autora: Petersburg, Zacharjewskaja Nr. 11, m. 2, kosztów przesyłki nie ponoszą. Księgarniom 33%. Tom 2-gi do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nagrody z Wystaw za skuteczność: Warszawa 1885. Warszawa 1886. Kraków 1887. Symferopol 1888.

!! TYSIĄCE ŚWIADECTW !!

PEWNY SRODEK

„EXSICCATOR“

OSUSZA WILGOĆ,
ZABEZPIECZA DRZE-
WO OD GNICIA, GRZYB-
KA itp. — BROSZUR
KA ILLUSTROWANA —
BEZPŁATNIE
POSZUKUJE
AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się falsyfikatów.

P. A. KRZYMIŃSKI SKŁAD WIN

od roku 1829 egzystujący

w Warszawie, ulica Wierzbowa № 3, dom hr. Krasieńskiego
Wina lecznicze, Koniaki prawdziwe poleca.

Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes, *Główne prądy literatury XIX w.*, tomów cztery, tłum. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard, *Logika*, tłum. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas, *Spółeczeństwa zwierzęce*, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socjologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny. Na koszt przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor, *Zmyślność i moralność roślin* (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan, *Spółeczeństwo pierwotne*, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacji, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski, *Męcennicy myśli* (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński, *Dramaty* (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— *O życie*, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug., Damian Capenko — k. 50.

— *Klemens Boruta*, powieść — k. 40.

— *Niewinni*, dramat w trzech aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam, *Charakter w zdrowiu i w chorobie* — rs. 1.

N. Hirschband, *Byron w urywkach* — rs. 1 kop. 20 z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski, *Poradnik lekarski* wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald, *Historia XIX w.* od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

E. B. Tylor, *Antropologia* z ilustracjami, w przekładzie A. Bąkowskiej — rs. 2., z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 25.